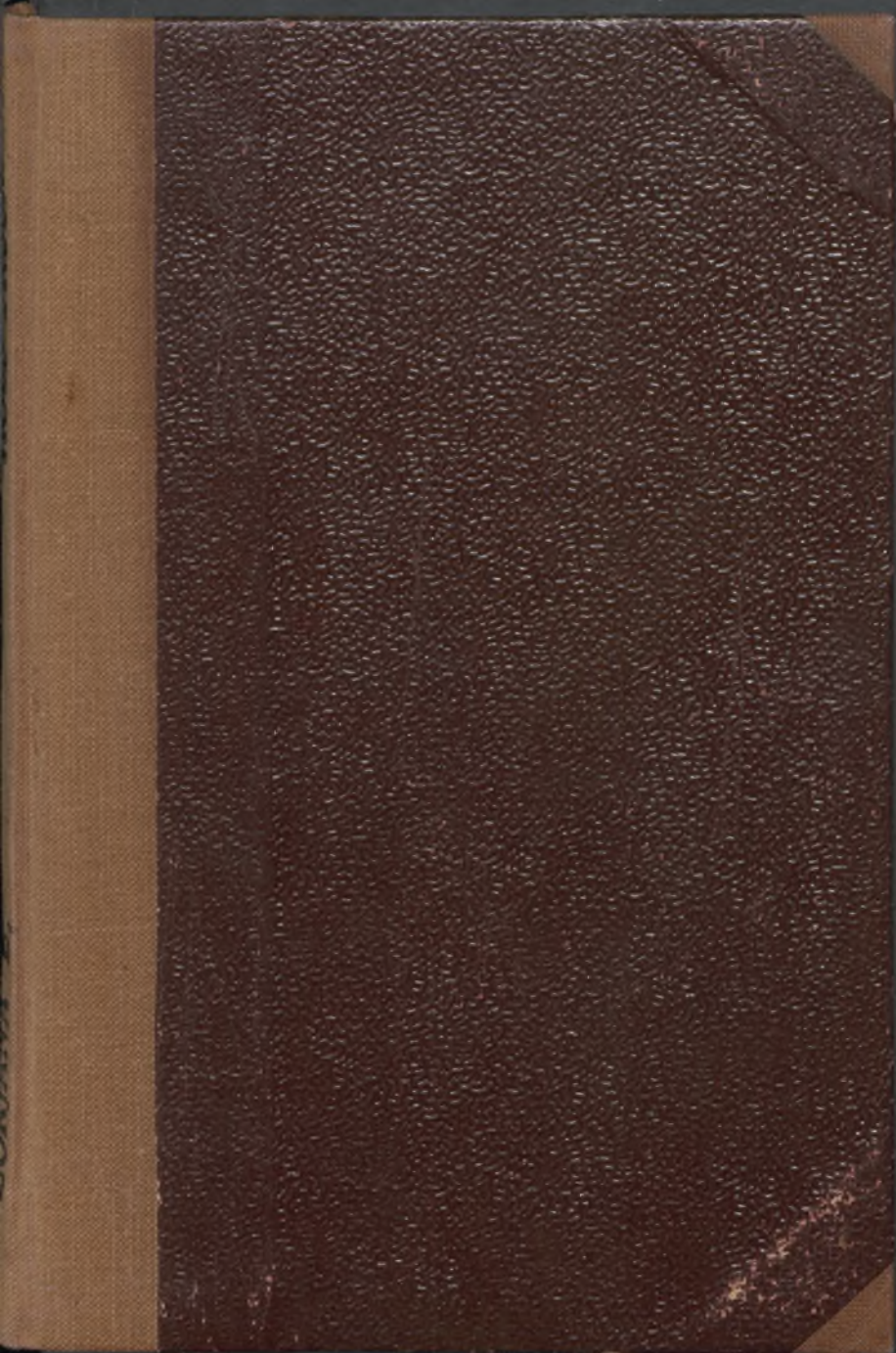
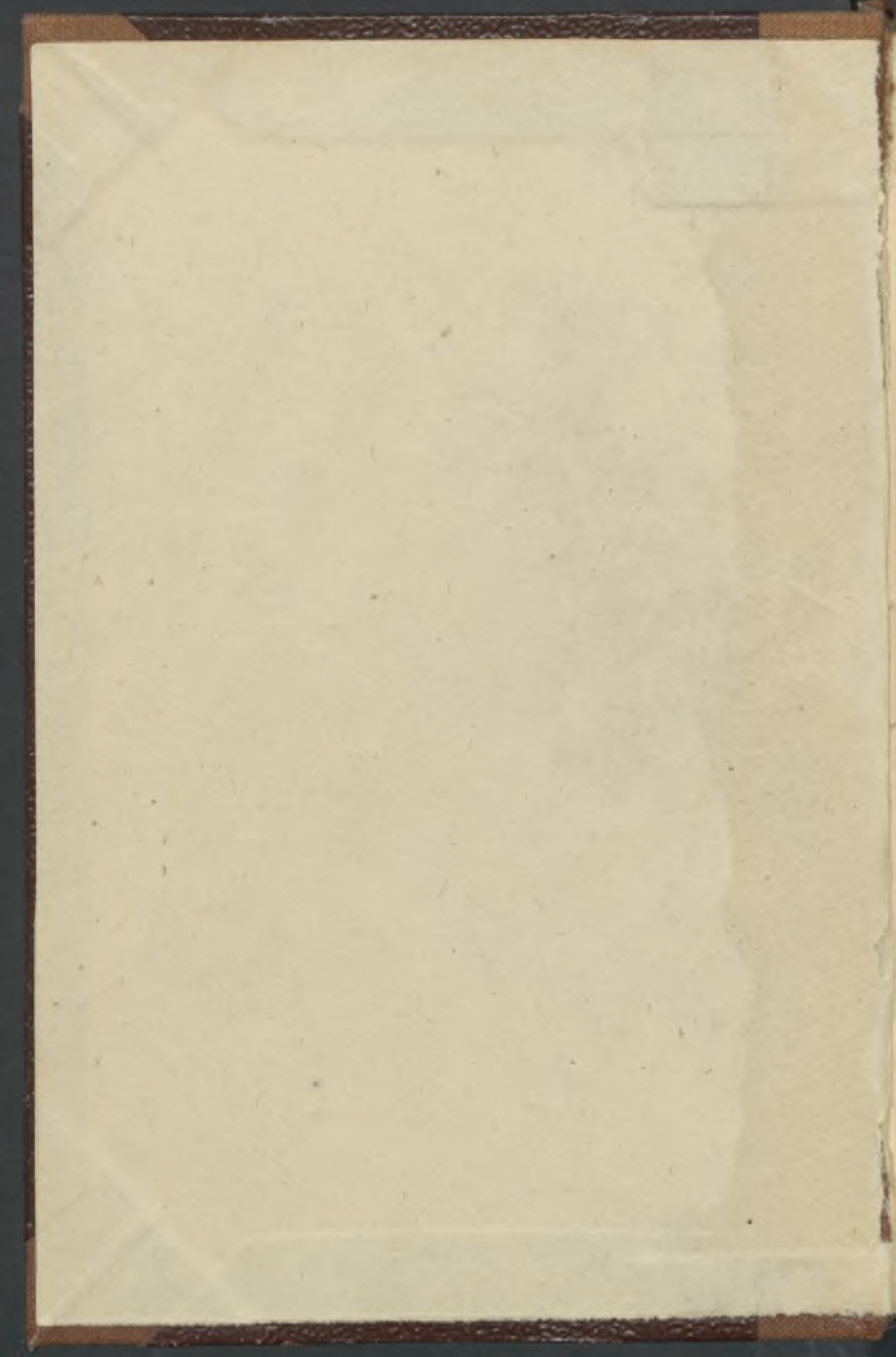
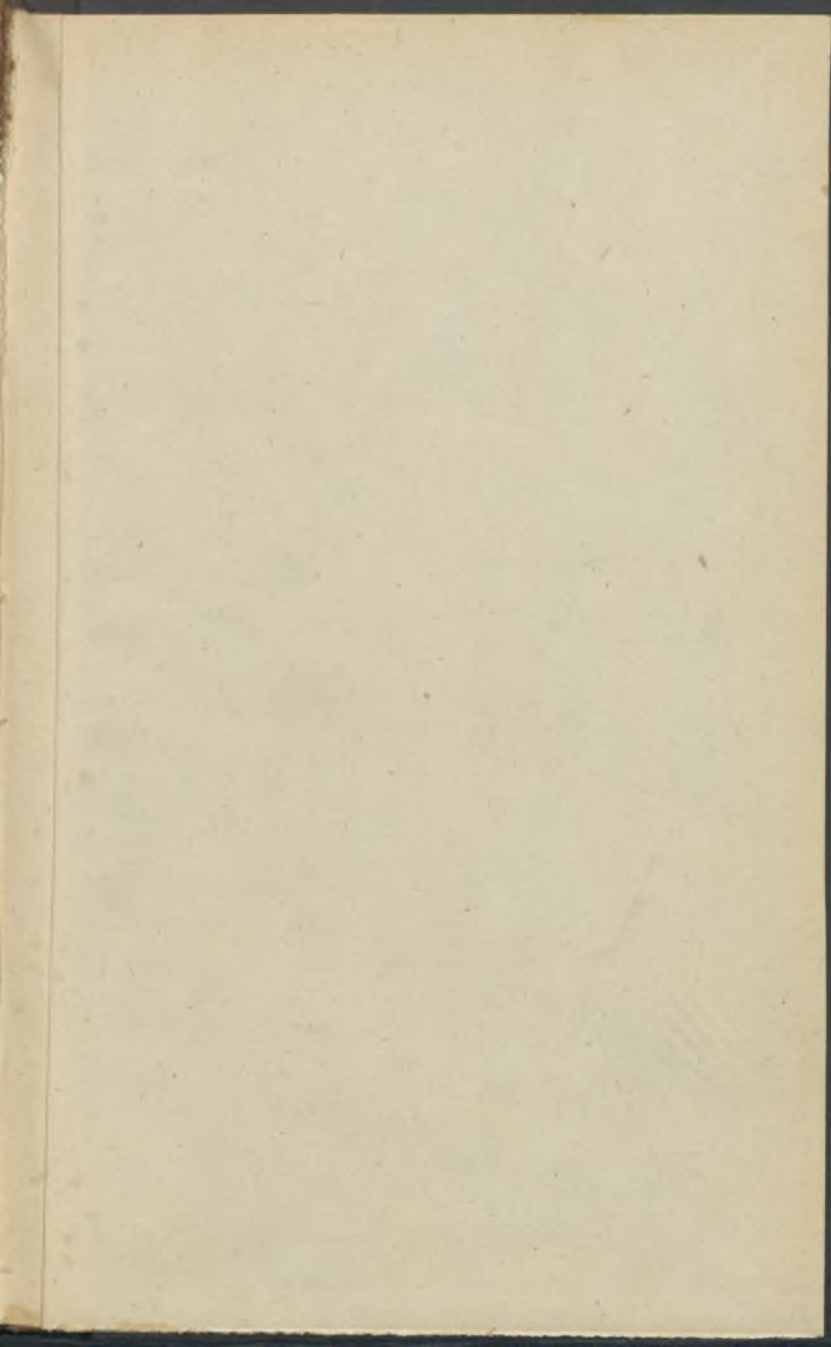
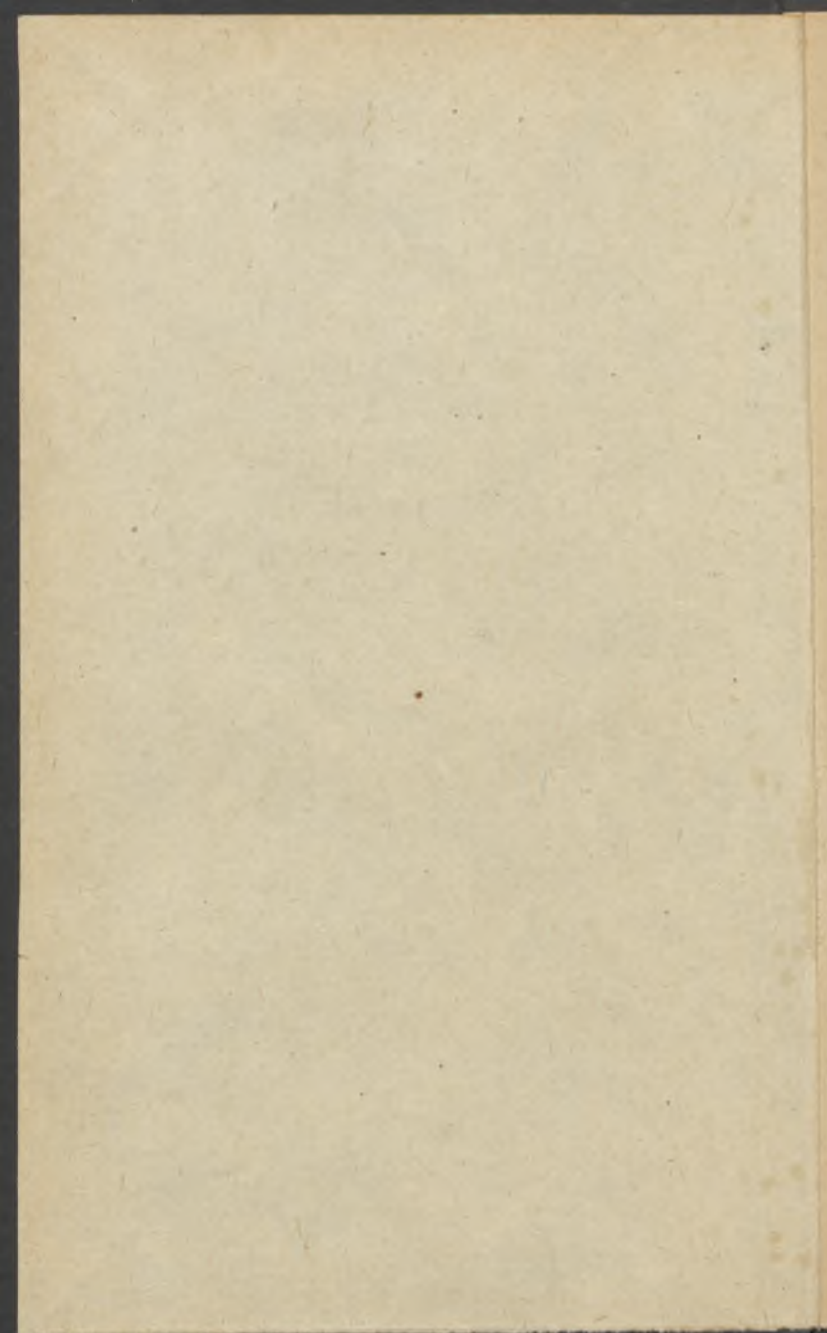










HOŁD PRUSKI.

Powieść historyczna z XVI wieku

przez

E. Zorjana.



WARSZAWA.

Skład główny w „Księgarni Polskiej” J. Sikorskiej—Warecka 14.

1902.

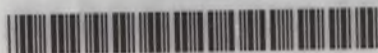
Nr inv. ~~45624k~~



821.462.1-311.6

Дозволено Цензурою
Варшава, 14 Декабря 1901 года.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-062644

~~Akc Z Nr 66/89/c~~

Akc W Nr 47/10/cz

Nad rzeką Szeszuwą, nie więcej nad półtrzeciej mili niżej Taurogów, siedliska pana starosty żmudzkiego Radziwiłła, wielkiego wroga zakonu Krzyżackiego, leżała osada pana Witołda Sołuchy—Wikniany. Rzeką niewielką, która tuż za osadą przekraczała granicę i już przez ziemie Zakonu dążyła do Niemna, była w tem miejscu głęboka i rozlewała się szeroko.

Sycona przez wilgotne, odwieczne lasy, nigdy nie cierpiała posuchy, stanowiąc o każdej roku porze ochronę dla mieszkańców Wiknian, którzy spokojnie mogli się oddawać pracy około roli i barci, połowu i suszenia ryb, hodowli bydła i koni. Brzegi Szeszuwy, płaskie były wprawdzie, ale tak błotniste i grząskie, iż trudno było wydobyć się z wody na ziemię suchą temu, kto nie znał twardych w nich brodów. A po środku rzeki kryło się pełno wirów, które czy to konie, czy łódź porywały w oka mgnieniu i ciągnęły na dno.

Powiadali ludzie, że osobliwie Krzyżakom i ich knechtom niebezpiecznie było puszczać się w nurty Szeszuwy, bo ich topielcy zaraz na dno ciągnęły, za karę za wszystkie zbrodnie, popełnione przez Zakon na świętej Żmudzi i Litwie.

To też ilekroć Krzyżacy mieli ochotę wpaść znienacka na Żmudź lub Litwę, omijali Szeszuwę i Wikniany.

Wszakże więcej, niżli rzeka niebezpieczna, odstraszał Krzyżaków pan Witold Sołucha, który po pokoju toruńskim (1466) tu osiadł, osadę założył, garść towarzyszy broni koło siebie trzymał i jak najczujniejszy stróż podpatrywał Krzyżaków. Był się który miał ku brzegom żmudzkim, pan Witold go wytropił i tak poczęstował szablicą, iż nigdy więcej nie wynurzył się z topieli.

Na dalekim świecie różnie bywało, — to wojna, to pokój; Krzyżacy to butnie pobrzękiwali orężem, to kłaniali się pokornie, fałsz i zdradę ukrywając pod płaszczem, znaczonego krzyżem. Sołucha bił ich, gdzie mógł, samoczwart z panami Kuniglisem, Łopotem i Bitnym, rzucając się choćby na dziesięciu. Pomiędzy bowiem, że pokój był zawarty i Zakon stał się hołdownikiem Rzeczypospolitej, często małe oddziały rajtarji krzyżackiej lub knechtów zapuszczały się na Litwę i Żmudź, rabując i umykając, jeśli się udało. Mistrze Zakonu zaczęli podupadać, bieda im często taka dokuczała, iż nie mieli czem zapłacić żołdu należnego najemnym knechtom; ci więc puszczały się samopas na rabunek, a ofiarą padały zawsze wioski, leżące blisko granicy.

Było to w roku 1516.

Tatarzy, niepomni przymierza, napadli Ruś. Musiała Polska skupić wszystkie siły w tamtych stronach.

Z Krzyżakami wprawdzie wojny nie było, ale też i nie było pewności pokoju. Wybrany w roku 1511 wielkim mistrzem Albrecht, margrabia brandeburski, dotąd królowi należnego hołdu nie złożył i wił się na

wszystkie strony, aby się od niego wykręcić, a od Polski zupełnie oderwać.

Zbierał wojska, gdzie się udało, a jeśli jeszcze nie stał się groźnym, to jedynie dlatego, iż grosza znikąd wydusić nie mógł i nie miał czem opłacić żołdaków. Prusy zakonne strasznie zubożały. Z 18 tysięcy wsi, zniszczonych przed traktatem toruńskim, większa część jeszcze leżała w gruzach. Poprzednie wojny tyłu porwały ludzi, iż rąk brakło do pracy. Zostali starcy zgrzybiali i niewiasty, a młodsze pokolenie dopiero podrastało. Ale starzy i młodzi jednak cierpieli jarzmo Zakonu i jednak byli mu niechętni, bo Zakon wyciskał grosz ostatni bez litości, a tego grosza już brakło zupełnie.

Pomimo to należało się mieć na ostrożności przed Zakonem, który tylko wyglądał sposobnej chwili, aby przymierze zerwać. Ni traktat toruński, ni pokrewieństwo z królem Zygmuntem, który był mu wujem, nie powstrzymały mistrza Albrechta od knowań przeciwko Polsce.

Na szczęście na straży granicy stał pan starosta żmudzki, Radziwiłł, żołnierz dzielny, który, poznawszy dobrze Krzyżaków, wiedział, iż nigdy im ufać nie można, bo zdradzić każdej chwili gotowi. Baczne też miał oko na to, co się w Prusiech zakonnych działo, a wywiadywał się wszystkiego przez ludzi oddanych, nienawidzących, jak on, Zakonu.

Prawą ręką księcia w tem dziele był Sołucha. Siedemdziesiąt jeden lat sobie już liczył, a siedał na koń ochotniej, niżli niejeden młodziak. Nikt tak nie umiał cichaczem spuścić się z falą Szeszuwy do Niemna, a Niemnem podnieść się aż do Jurborga, podpatrzeć ruchy Krzyżaków, podsłuchać

ich zamysły i wskok donieść księciu w Taurogach, lub ztamtąd pchnąć posłańca dalej, gdy Radziwiłł był w Kiejdanach, albo aż w Birżach lub Wilnie.

Sołuchowie od wieków walczyli z Zakonem. Niegdyś poganie wojowali wroga, który niby to chciał ich nawrócić na wiarę Chrystusową, a naprawdę tylko myślał o grabieży. Przyjąwszy chrześcijaństwo, nie zaprzestali Soluchowie walki z Krzyżakami, broniąc ojczystego zagonu od wrogich łupieżców, których nie powstrzymał krzyż święty, rozciągający teraz swe ramiona nad Żmudzią. Ginęli Soluchowie za wiarę i Żmudź, a na pamiątkę nosili w herbie mogiłę z trzema krzyżami.

Ale najzawziętszym chyba z całego rodu był pan Witold. Chłopcieniem jeszcze zaczął przy boku ojca swego wojować Krzyżaków. A gdy mu ojca usiekli, postanowił całe życie poświęcić na walkę z wrażym Zakonem.

Ożenił się, ale nie długo zaznał szczęścia. Raz nocą Krzyżacy napadli na dwór, wymordowali czeladź, domostwo spalili. W płomieniach zginęła pani Witoldowa... Ledwo synka małego od śmierci ocalił. Teraz dopiero stał się Sołucha czujnym, przekonawszy się, iż nawet traktat pokoju nie krępuje dzikiego krzyżactwa.

Często płakał na zgłiszczach, wśród których zginęła jego żona, nie pozwalając, by je uprzętnięto.— „Niech zostaną,—mawiał,—na naukę dziecku, aby wiedziało, jak wiarołomni są Krzyżacy. Niech syn mój, patrząc na te zgłiszczu, wspomina, komu winien sieroctwo“.

Pobudował dom nowy dalej nieco, obwiodł go palisadą, okopał rowem i oddał się cały stróżowaniu nad granicą i wychowaniu syna.

Lata mijały, Solucha trzymał się dzielnie, służąc krajowi dzień i noc. Doczekał się z syna pociechy, widział go często przy swym boku w utarczkach z krzyżackiem hultajstwem i cieszył się, iż przybył krajowi żołnierz tęgi, który może kiedyś przyczyni się do ostatecznego skruszenia wrogiej potęgi. Doczekał się wreszcie jeszcze jednej pociechy, bo wnuka, ślicznego jasnowłosego Jerzego. „Jeśli nie zgnieciem rychło tej hydry Krzyżackiej“,—mawiał do syna,—„to da Bóg kiedyś jeszcze we trzech, z tobą i z Jurkiem staniemy w szeregu, a chyba Bóg usłucha trzech pokoleń łzawej modlitwy i skruszy tego smoka strasznego, który już tak długo wypija krew naszą.“

Ogromnie pan Witold kochał tego Jurka. Sam go zawczasu uprawiał do jazdy konnej, szabelki i pistoletu, bo go chciał wychować na tęgiego wojaka, któryby żył na chwałę Boską, a na pożytek kraju i pociechę rodziców.

Wtem nowe nieszczęście spadło na pana Witolda. Oto w jednej z utarczek Krzyżacy ubili mu syna. I znowu na dolę jego wypadło hodowanie sieroty.

Zawziętość straszna przeciwko Krzyżactwu wzrosła jeszcze w duszy starca. Czy to gdy sam krążył nad granicą i patrzył na ich ziemię, czy gdy uczył Jurka, czy gdy spojrzał na smutną zawsze synowę, czuł taką złość do tych wrogów, że ledwo mógł się powstrzymać od kroku szalonego. Nieraz zdawało mu się, iż nie potrafi dłużej panować nad sobą, lecz skończy sam jeden w nurty Szeszuwy, przepłynie ją i rzuci się naprzód, aż do Królewca, mordując po drodze Krzyżaków. Wtedy klękał, gdzie stał, i modlił się o cierpliwość, aż przyjdzie chwila, w której trąbka

zagra pobudkę i powiedzie rycerzy na bój wielki, ostatni. Na ten bój chciał się zachować, do niego chciał wyuczyć wnuka.

A Jurko rósł na pociechę dziadka.

W chwili gdy się opowiadanie nasze zaczyna miał lat 18. Wzrostu był ogromnego, siłacz niezrównany: dębczaki spore z korzeniem wyrывał, a pod konia najtęższego wlaższy, podnosił go karkiem bez wysiłku. I niktby tego po nim nie poznał. Jasnowłosey, cichy, milczący, miał twarz łagodną i spokojną. Bo też nigdy się nie gniewał, nigdy nie uniósł, nigdy z nikim zwady nie szukał. Gdy go który z rówieśników drażnił, lub naprawdę rozgniewać chciał, mówił cichym, niskim głosem: „Jeśli cię skóra swędzi, to, ot, masz!” I chwycił, co było pod ręką, czy podkowę ciężką, czy sztabę żelaza, czy drzewo tęgie i skręcał je bez nateżenia, jak wiór; albo gdy był przy szablicy, rznął nią w pniak i rozcinał go na dwoje, jakby wosku kawał.— „A ot, widzisz, już i niema tego złośnika, który mię wyzywał, a ten co przedemną stoi, niech żyje.”

I rozbrajał tą swoją łagodnością każdego, choćby największego zawadjakę. A gdy go kto za takie postępowanie chwalił, odpowiadał: „Siła to moja, ale nuka dziadusiowa”.

Dziaduś dla Jurka był wyrocznią. Słuchał go we wszystkim i nieraz, gdy go niebyło, a wypadło coś uczynić, pytał:— „A jakże ja to zrobię, kiedy nie wiem, jakby dziaduś kazał?”

Gdy pan Witold był w domu, Jurko nie odstępował go; we wszystkim pomagał, a już najbardziej lubił słuchać opowiadań dziadka. Siedział zwykle z przymkniętymi oczyma, jakby drzemał, ale na pra-

wdę cały w słuch się zamieniał i doskonale wszystko pamiętał. Tylko gdy dziad zaczął mówić o Krzyżakach, ich niegodziwości, ich napadach na bezbronných mieszkańców Litwy i Żmudzi, otwierały się oczy Jurkowi coraz szerzej, z jasnych stawały się ciemniejsze i nabierały blasku, aż wkońcu gorzały jak dwa węgle. Pięście zaciskał, albo chwycił rozwartemi rękoma przed siebie, jakby kogoś chciał zadławić.

— My ich zmożemy, dziadus, musimy zmódz! — wołał w uniesieniu.

— Musimy, Jurku, musimy!

Wtedy Jurko wybiegał na podwórze i z pistoletu lub rusznicy do celu strzelał, albo szablą się ćwiczył. Uczył go dziadek, uczyli pan Kuniglis i Łopot, często zdarzył się jeszcze ktoś z sąsiedztwa. A gdy z nimi poszedł na rękę, to zmęczył wszystkich, choć dzielni byli gracze na szable,—a sam stał jeszcze, jakby tylko co się złożył, i figlarny uśmiech zjawiał mu się około ust.

— Jeszcze troszkę — prosił — bom się nie rozegrał.

Wtedy stawał przed nim Grzegorz Bitny, stary żołnierz, straszny rębajło, który dzieckiem był wzięty do niewoli krzyżackiej i dopiero w dwudziestym piątym roku życia zdołał uciec. Pochodził on z mieszczańskich. Gdy z niewoli powrócił, rodziców już nie odszukał, wstąpił do halabardników miejskich, ożenił się, podchowwał dwóch synów, z których starszy miał lat dziesięć, młodszy—ośm. Wtem żonie wypadło pojechać do chorej matki do Olsztyńka. Czasy były spokojne, staruszka pisała, by jej przywieziono wnuków, więc Grzegorz pobłogosławił żonę i dzieci i wyprawiał z domu. Po drodze przepadli... Długo Bitny

poszukiwał rodziny, aż się dowiedział, że żonę i synów zabili pijani rajtarzy krzyżaccy.

Nie poszedł na skargę do wielkiego mistrza, bo wiedział, iżby to się na nic nie przydało, ale w Gdańsku już usiedzieć nie mógł. Ruszył w świat i oparł się aż na Litwie. Sługiwał tu w nadwornych milicjach, ale spokój męczył go, nuda dokuczała. Na dworze Radziwiłła dowiedział się o dziedzicu wikniańskim i poszedł do pana Sołuchy.

— Chudopacholek jestem — rzekł pan Witold, gdy mu się Bitny do służby napraszał — jakąż ja waści dam funkcję?

— Kawalek chleba suchego dajcie, miłościwy panie, i pozwólcie jak psu leżeć na granicy, a czasem urwać jakiego zbója krzyżackiego, bo słyszę, oni się tędy włóczą. Mnie dużo nie potrzeba: po śmierci zbawienia Boskiego, a za życia zemsty nad Krzyżakami.

— A umiesz waść bić się? — zapytał pan Witold kusego, krępego człowieczyńę, który nie bardzo rycersko wyglądał.

Bitny zafrasował się, potem nieśmiało rzekł:

— Wybacz miłość wasza memu zuchwalstwu?

— Mów waść!

— Ot, najlepiej spróbować, czy umiem się bić.

Panowie Kuniglis i Łopot, którzy obok stali, tak się roześmieli głośno, aż echo od ścian dworu się odbiło.

— Z panem Sołuchą chcesz się waść próbować? — zapytali.

— Chciałbym tylko dać siebie wypróbować.

— Warto choć dla krotofili — zawołał pan Łopot i kazał podać dwie ciężkie szablce.

Ale już po kilku cięciach śmiech znikł mu z twarzy.

— Niezły sobie!—rzekł składając się dalej. Tymczasem Bitny spokojnie machał szablą, a pan Łopot poczuł pot na czole... Gdy stanęli, aby pan Łopot trochę wypoczął, żyłasty Kuniglis wziął szablę do rąk i z uśmiechem rzekł:

— A no, ze mną trochę!

Bitny bez wypoczynku złożył się i wkrótce pan Kuniglis się zasapał...

— Ależ waść mistrz jesteś! — zawołał Sołucha. — Gdybyś nie był zmęczony, sambym się spróbował.

A na to Bitny tylko się uśmiechnął, czapkę odrzuciwszy, pokazał, iż ani kropli potu na czole nie miał, i stając z opuszczoną szablą, rzekł:

— Zaszczytby to był dla mnie niemały.

I Sołucha nie dał Bitnemu rady, bo ten każde cięcie odbijał jakby piórko w locie, a sam takie zadawał, iż często zasłonić się było trudno.

— Mistrz skończony jesteś! — zawołał wreszcie pan Witold—bijesz się, jak najlepszy Krzyżak.

— Bom się też od nich nauczył.

— Jakże to?

Bitny opowiedział swe dzieje, a gdy skończył, Sołucha nie mógł wytrzymać:

-- Toś mi nie sługa, a brat! — I uścisnął go prawdziwie po bratersku.

Panowie Kuniglis i Łopot poszli za przykładem starego Sołuchy i wkrótce Bitny był pomiędzy nimi, jakby oddawna do ich towarzystwa należał.

Nie pchał się nigdy do poufności, ale go sami do siebie przygarniali.

Od pierwszego dnia stał się Bitny najczujniejszym stróżem granicy.

Był on też najlepszym Jurka nauczycielem, a chłopak tak był na rąbaninę pojętny, iż wkrótce swemu mistrzowi dorównał. I często, gdy już zmachał dziadka, i panów Łopota i Kuniglisa, brał się jeszcze do Bitnego. Bywało tak, że i Grzegorz zaczął ustawać, a Jurek ledwo się rozegrzał. Ale może to było tylko ze strony Bitnego udane, bo kochał chłopca i chciał mu przyjemność uczynić, pokazując, iż nawet jego zmógł.

Bitny był dla Sołuchy nieoceniony. Mówił po niemiecku, jak prawdziwy Krzyżak, a tak znał ich obyczaje i wszystkie wyrażenia, iż każdy Niemiec uważałby go za rajtara.

Więc też nieraz, przebrawszy się w strój niemiecki, podchodził w głąb ziem zakonnych i nietknięty wracał z wiadomościami. W utarczkach odważny i roztropny, czy to na koniu czy piechotą, stawiał czoło choćby kilku najtęższym. Z Szeszuwą też się rychło poprzyjaźnił, — a wychowany nad burzliwym morzem, tem łatwiej dawał sobie radę z cichą rzeką, bądź na łodzi, bądź wpław przerzucając się z błyskawiczną szybkością z brzegu na brzeg. Gdy się zdarzyło, że pogoń za nim dobiegła aż do rzeki i kule puściły się gradem ku niemu, dawał nurka i wypływał dopiero w takim miejscu, gdzie go się Krzyżacy wcale ujrzyć nie spodziewali.

Mistrzem też był w strzelaniu z łuku, a chociaż ta broń dawno już ustąpiła palnej, uczył obchodzić się z nią i Jurka. Wielkie łuk oddawał im usługi, bo sprzątali nim często włóczących się Krzyżaków i knechtów tak cicho, iż nikt nie mógł nadbiedz z od-

sieczą. Czynili to wszakże tylko we własnym kraju, ziem zakonnych nie napadając.

Tylko gdy jaki wrogi oddział wdarł się w nasze granice, a oni go wytropili, ścigali go, póki się dało.

Swego tylko bronili, cudzego nie szukając, a i to im roboty dawało niemało, bo rozpuszczone wojsko krzyżackie i niepłatni knechci często szukali zdobyczy w cichej, lecz żyznej, krainie sąsiedniej.

II.

W samym środku miasta Królewca, nad ogromnem jeziorem, wznoszą się potężne mury zamku, w którym po wygnaniu z Malborka zamieszkali wielcy mistrzowie krzyżacy. Zamek ponury, o wysokich, poczerniałych ścianach, panował nad całym miastem, a panował tak srodo, iż mieszkańcy ze strachem nań spoglądali.

Wybrany w roku 1511 wielkim mistrzem młody margrabia brandeburski Albrecht niewesołe dni spędził w królewieckim zamku. Troski zasiadły mu nad czołem, które, acz młode, coraz więcej bruździło się zmarszczkami.

Ksiąźcego pochodzenia, siostrzeniec polskiego króla Zygmunta I, wybrany na dostojną godność wielkiego mistrza, mógł być szczęśliwie żyć w swym wspaniałym zamku, mógł być mieć pokój, dostatki, znaczenie, gdyby, złożywszy hołd królowi Zygmunto-
wi, zajął się poprawą doli zniszczonego kraju. Ale

duch w nim był niespokojny, buntujący się przeciwko prawdzie i sprawiedliwości. Niepomny, iż poprzednicy jego hołd złożyli, że upór ostatniego mistrza tylko nieszczęścia na ziemi zakonne ściągnął, zaciął się i hołdu odmawiał.

Udawał się o pomoc to do papieża, to do cesarza niemieckiego, to do książąt niemieckich. Na wezwania króla Zygmunta odpowiadał wykrętami, a widząc, iż pomoc ze strony panujących nie dopisuje, zaczął myśleć o zbrojnym oporze, a bodaj czy nie o napadzie na Polskę, byle się do tego sposobna chwila nadarzyła.

W ogromnej komnacie królewieckiego zamku, o wysokich gotyckich oknach, o ścianach pociemniałym dębem wyłożonych, na których wisiały bogate zbroje,—zasiadł mistrz Albrecht, otoczony najstarszymi doradcami.

Był to mężczyzna lat 26, średniego wzrostu, o krótko strzyżonych, kręących się rudych włosach i spiczastej rudej brodzie. Twarz miał bladą z czerwonymi na policzkach plamami, które osobliwie jaskrawo występowały, gdy był gniewny. Oczy szare patrzyły ponuro, często złowrogo. Gdy tłumił w sobie złość, zagryzał wargi i pięściami zaciśniętymi uderzał o kolana.

Zasiedli dokoła: marszałek zakonu Jerzy von Eltz, wielki komtur Simon von Drache, komtur memelski Michał von Szwab i doradcy: Ditrich von Schenberg i Fryderyk von Heideke.

— Wezwalem was — zagaił wielki mistrz — by wam powierzyć moje plany i zasięgnąć waszej rady; lecz wszystko, co powiem, ma być zachowane w największej tajemnicy.

Zgromadzeni odpowiedzieli pochyleniem głów.

— Dłużej nie możemy znosić zwierzchności polskiej, tej hańby, którą zakonowi narzucili poprzednicy moi—mówił Albrecht. — Zakon musi się dźwignąć, odzyskać dawną swobodę, stać się potężnym, jak dawniej, potężniejszym nawet.

— Wskaż tylko sposób—przerwał sędziwy wielki komtur von Drache.

— Wskażę — rzekł mistrz z naciskiem i spojrzał na mówiącego niechętnie — właśnie po to was zwołał. Polacy miewają chwile potęgi, lecz często bywają słabi. Byłoby dla zakonu nieszczęściem, gdybyśmy czekali, aż nas napadną, bo uczyniliby to w chwili swej siły, a wtedy podołaćbyśmy im nie mogli. My musimy pierwsi rozpocząć wojnę i to wówczas, gdy Polska słabą będzie, gdy z wielu stron wrogie potęgi napadną na nią, gdy, licząc na pokój z nami, nie będzie pilnowała naszych granic. Dziś ta chwila nastąpi! Na wschodniej granicy Polski wre bój, tam wszystkie siły skupione. Dziś uderzyć musimy, by zwyciężyć!

Oczy mu błyszczały, gdy to mówił a spoglądał na wszystkich, jakby z twarzy ich chciał wyczytać odpowiedź.

— Mówcie, co myślicie?

A gdy jeszcze milczeli, zawołał:

— Bracie marszałku, jako urzędem najstarszy, mów.

— Gdyby można liczyć na pomoc, chociażby tylko z Niemiec....

— Pomoc pewna — mówił mistrz pośpiesznie — i cesarz i książęta niemieccy pomogą, pomoże mistrz inflancki, z którym tylko co się ułożyłem....

— Siły nasze własne niewielkie, — rzekł po namyśle marszałek; — należałoby je wzmocnić wpierw i poczekać z uderzeniem, aż posiłki nadejdą.

— Byle rozpocząć, i siły własne wzrosną, bo wojna pociąga ku sobie rycerzy, i pomoc nadejdzie — zawołał mistrz. — Dopóki będziemy się wahali, i ci, którzy pomoc obiecali, zwłóczą!

Pochylony dotąd wielki komtur Simon von Drache podniósł nieco głowę, lewą rękę oparł o poręcz fotelu, na którym siedział, prawą wyciągnął przed siebie, dając znak, iż chce mówić. Po chwili milczenia zaczął:

— Od chłopięcych lat służyć zakonowi i przeszedłem z nim dolę i niedolę. Pamiętam jeszcze zakon potężny, kraj bogaty, skarbiec pełny, uczty huczne, wojska liczne. I czegoż dobiliśmy się? Pokoju to-ruńskiego!

— Właśnie tę hańbę zmyć z zakonu musimy! — zawołał Albrecht.

Drache wpół się dźwignął i zapytał:

— Czem?

— Wróg-li to mówi? — syknął Albrecht.

Wielki komtur powstał z powagą. Mleczna broda spływała mu na piersi, sędziwe policzki zarumieniły się, około ust zaigrał uśmiech, ale w oczach ogień zaświecił.

— Zwołaj, mistrzu, zakon cały, a on odpowie na to pytanie. Tak, jam wróg, lecz nie zakonu, ale fałszu! Jam życie całe strawił na usługach zakonu, ałem w zakon wierzył, nie splamilem krzyża i wiernym mu zostanę. Czy się zakon odrodzi? Nie wiem, lecz pragnę tego; to wszakże pewne, że nie awanturnicze pomysły, nie napaść na Polskę nas ocali. Czyż

nie widzicie, że ta Polska, choć tak dziś skłopotana, zdławi nas do reszty! Bo i cóż my mamy? Wojska garść, reszta niepłatna plądruje po kraju, a kraj, i tak już wyniszczony, głodem przymiera! Z dawnych włości ledwo siódma część pozostała nietknięta klęską wojen przebytych; od zeszłorocznej morowej zarazy tu w tym grodzie kwiat rycerstwa wyginał; mistrz zakonu, następca tych, którzy w złocie i klejnotach się kapali, nie ma czem opłacić kosztów poselstwa do cesarza! Sądysz, mistrzu, żeś kilkunastoma gąsiorakami hiszpańskiego i reńskiego wina, któreś mu zawiózł, kupił mistrza inflanckiego?

— Nie kupowałem go, a dobrowolnie przyrzekł mi pomoc. My z jednej strony, on z drugiej rzuci się na Żmudź i zagarniemy ją bez oporu! — krzyknął Albrecht.

— Mistrz inflancki przyrzekł wspólnie działać, gdy za nami staną całe Niemcy i gdy będziem tak silni, że i bez niego sobie damy radę. Wtedy i on skoczy na Żmudź, aby dla siebie coś urwać...

— Nieprawda to!

— Prawda! — zawołał Drache, podnosząc krzyż komturski, który mu wisiał na piersiach. — Prawda to, jak prawda, że Chrystus Pan dał krew za nas, za świat cały. Prawdą jest, że nikt nam pomocy nie chce dać szczerze i nie da!

Albrecht tupnął nogą z wściekłością.

— Mistrzu! — ciągnął po chwili Drache — nie gub zakonu. Słaby on, ale w cierpliwości jego ratunek. Może i on kiedyś podźwignie się, lecz nie dziś ta chwila. Nie popychaj zakonu do kroku szalonego, bo go zniszczysz do reszty.

— Uczynię, co zechcę! — zawołał mistrz.

— Na naradę poufną nas wezwałeś, poufnie prawdę powiedziałem. Niech się zbiorą starsi zakonu, niech sądzą. Tak każe prawo.

— Prawem u mnie miecz!

Komtur spojrział przenikliwie na Albrechta, potem uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

— Dwakroć bracia ofiarowali mi godność wielkiego mistrza i dwakroć odmówiłem, sądząc, iż znajdą godniejszego. Pójdę się modlić, by Bóg odwrócił od nas to prawo, które miecz pisze.

Wyszedł, a na twarzy jego odbił się głęboki smutek.

Zapanowało milczenie.

Wreszcie zerwał się mistrz z krzesła.

— Gad, krwią zakonu wykarmiony!

— Nie mów tego, mistrzu — odezwał się marszałek. — Rycerz to nieskalany. Wybacz mu porywczosć, ale on przecierpiał wszystko, co długie lata uderzało w zakon. On kocha szczerze ten krzyż, który piersi jego zdobi, więc lęka się o dolę naszą, może zbyt się lęka, a wypowiada swe myśli gorąco.

— Więc i ty przeciwko mnie?

— Nie, mistrzu, jam zawsze spełnić gotów twe rozkazy, lecz radzę więcej się upewnić o pomocy ze strony cesarza i książąt, wzmocnić własne siły, a potem dopiero uderzyć.

— A jeśli naprawdę, widząc słabość naszą, zawahają się z pomocą?

— Wtedy poczekamy, aż się nam uda przekonać ich, iż, broniąc nas, bronią Niemiec...

— Alboż mało jeszcze tego czekania?

— Dzieło wielkie wielkich wymaga przygotowań.

— A wy? — zwrócił się mistrz do milczących dotąd Szenberga i Heidekiego.

— Rycerzami jesteśmy — odparł pierwszy — i w miecz więcej wierzymy, niż w poselstwa.

Mistrz spojrzał obydwóm w oczy, długo, przenikliwie, i spostrzegł w nich takie blaski, iż zrozumiał, że więcej myśleli, niżli chcieli powiedzieć.

— Pójdźcie — rzekł po chwili mistrz — namyśle się jeszcze; lecz ty marszałku gotuj się do drogi. Zdażę mi się, iż usłucham siebie i ciebie właśnie wyśle do cesarza.

— Uczynię wszystko, co w mych siłach będzie, by nakłonić cesarza na naszą stronę. Byle tylko papież nam miłościwszym się okazał...

— Papież! — zawołał mistrz, wydawszy usta — i on będzie za nami, gdy orężem zdobędziemy to, czego pragniemy. Wtedy nie trudno mu będzie zatwierdzić, że, co w naszych rękach, to nasze!

Gdy wszyscy trzej wyszli, rzucił się mistrz na fotel, oczy przymknął i zamyślił się. Długo tak siedział nieruchomo. Wreszcie ocknął się i w dłonie klasnął.

Cicho otworzyły się drzwi i wsunął się człowieczek mały, ale krępy i barczysty. Był to wyrostek lat dziewiętnastu, o twarzy okrągłej, z oczkami małemi, przymrużonemi, z wyrazem głupkowatym. Miał na sobie ubiór pokojowca, lecz ruszał się niezgrabnie, kłocowato.

— Hans, tu! — zawołał mistrz.

Wołany podsunął się bliżej, nastawił lewe ucho tak, jakby był przygłuchy, i czekał.

— Zawołaj mi zaraz rycerzy Ditricha von Szenberga i Fryderyka von Heideke; lecz idź tak, by cię

nikt nie spostrzegł i powiedz, aby nieznacznie przyszli do narożnej komnaty. Nim przyjdą, przygotuj tam światło i wino, a dla Heidekego miód aby był.

Hans skłonił się i chciał iść.

— Zrozumiałeś?

— Tak, miód mam przygotować i wino, ale prosię nie nadpierać, bo ci rycerze, których mam zawołać, sami dadzą rady.

Mistrz roześmiał się.

— Idź, spraw się, może i tobie co się dostanie.

— I pewno, jeśli nie kielichem w łeb, to nogą w tył.

— Nie lubisz tego? — pytał Albrecht.

— A waszej dostojności by to smakowało?

— Błaznie, cóżbyś ty chciał?

— Sprawiedliwości!

— Jakiej-że?

— Niechby już rycerze walili czasem kielichami, ale nogą kopać i to jeszcze nie z przodu, przystoi pachołkom, jak ja....

— A niechże cię! — zawołał mistrz już zupełnie wesół i, wydobywszy małą miedzianą monetę, dał ją Hansowi.

Ten oczy przymrużył i przypatrywał się pieniążkowi.

— Cóż tak patrzysz?

— Myślę, że, gdybym był wielkim mistrzem, to bym w sakwie nigdy nie nosił innych pieniędzy, jak złote, aby dając nie omylić się.

Mistrz pociągnął Hansa lekko za ucho. Chłopak nastawił się spokojnie, a gdy mistrz rękę odjął, Hans wyciągnął ku niemu pieniążek.

— Proszę waszej dostojności...

— Co, nie chcesz?

— Wziąłem, więc grosz mój, teraz daję go waszej dostojności. Płacy już od roku nie dostaje prawie nikt z nas, ochmistrz powiada, że kasa zakonu pusta; chcę ją wspomódz....

Mistrz spochmurniał.

— Idź już... Jutro zapłatę za cały rok dostaniesz.

W godzinę później gwarno było w narożnej komnacie. Hans dostał rozkaz, by nikogo nie wpuszczał i nikomu nie dozwolił podsłuchiwać. Siedział więc w przedniej izbie pod samemi drzwiami pod progiem, łokcie oparł na kolanach, twarz zanurzył w ogromne dłonie i zdawał się drzemać. Czasami dochodziło go wołanie: „Hans!“ Wtedy wchodził cicho, niosąc nowe gąsiorki z winem i miodem, bo je miał w pogotowiu i wiedział, że tylko po to go wołano, i znikał znowu za drzwiami.

Tymczasem trzech biesiadnicy rozmawiali głośno. Twarze mieli już bardzo czerwone, a jeszcze popijali— Heideke miód, mistrz i Szenberg wino.

— Lubię ja miód litewski — krzyczał Heideke — ale nienawidzę Litwinów i Żmudzinów.

— Idźmy na ich ziemię, a więcej krwi ich rozchlapię, niżli miodu wypiję!

— Na Żmudź, na Litwę! — wrzasnął Szenberg.

Mistrz, także już trochę podochocony, wpatrywał się w obu.

— Więc radzicie? — zapytał.

— Wpaść obcesowo na Żmudź, zabijać i palić, popłoch roznieść po całym kraju, a wtedy mistrz inflancki pewno także wkroczy, abyśmy sami całej ziemi nie obdarli — zawołał Heideke. — Wtedy cesarz bę-

dzie musiał nas ratować, bo, gdy Polska rzuci się na nas, czyż mógłby pozwolić nam zginąć?

— Prawda to — rzekł mistrz.

— Prawda — powtórzył Szenberg — lecz ten Raziwił to czujny pies! Załogi po zameczkach ma, granicy pilnuje. Nie łatwo mu będzie dać rady.

— Wpadniem tak nagle, iż nikt się nie opatrzy, jak już będziemy w głębi kraju, a za nami płomienie i krew tylko pozostaną!

— Na granicy czuwają, a osobliwie ten szatan Sołucha!

— Boisz się go? — zapytał Heideke.

— Ja, bać się! — odparł Szenberg — nikogo się nie boję, lecz przezorność nie zawadzi.

— Będziem się mieli na baczności — rzekł mistrz. — Zbierzemy ile się da wyborowego żołnierza, uderzym znienacka, a Sołuchę zaskoczymy z tyłu.

— Czujna to bestja — odezwał się Szenberg — a jeszcze dobrał sobie pomocników. Osobliwie ten mały niedźwiedź, który od kilku lat u niego służy, jak szczupak wyławia naszych ludzi i połyka niby płotki! Jeszcze nie było wypadku, żeby ktoś z naszych, zapuściwszy się w okolice Wiknian, żyw do domu wrócił.

— Skończmy już raz tę hańbę! — zawołał mistrz z roziskrzonym wzrokiem. — Dość tego! Przed królem się nie ugnę, a miałbym się lękać psiaków takich, jak Sołucha i jego oprawcy?

Znowu zabrzęczały kielichy, ale po nich biesiadnicy spokojniej już zaczęli się naradzać. Ułożono cały plan niespodzianego napadu na Żmudź. Wpierw jednak miano małymi oddziałami podpatrzeć, w którym miejscu granica jest najmniej strzeżona. Przedewszy-

stkiem szło o to, aby zbadać, jakie siły znajdują się około Wiknian i które dyby je można obejść. Zaraz nazajutrz miano zacząć podpatrywanie, a najdalej za miesiąc ruszyć silnym oddziałem i wdrzeć się w głąb Żmudzi.

Długa była narada, podczas której nikt nie pił. Omówiono wszystkie szczegóły napadu dokładnie. Szenberg miał wybrać się w kilkunastu ludzi dla opatrzenia granicy. Chciał sobie dobrać takich, którzyby po powrocie ani pisnęli, gdzie byli, a w razie potrzeby chętnie położyli głowy.

Hans drzemał niby wciąż pod drzwiami. Nagle zbudziło go wołanie. Wsunął się do komnaty, przecierając kułakiem oczy. Wyglądał bardzo zaspany.

— Wina, miodu! — krzyknął mistrz.

Tym razem Hans miał ręce puste. Wrócił więc do pierwszej izby, a gdy się znowu ukazał z dwoma gąsiorkami, mistrz zawołał:

— Dla siebie chciałeś zostawić, co?

— Nie, lecz zdrzemnąłem się trochę.

— Spałeś zdaje się na dobre!

— Drzemałem tylko, czekając na to, co mi się miało dostać.

— Aha, nie zapomniałeś?

— Obietnic waszej dostojności niegodzi się zapominać.

Mistrz nalał kielich miodu i dał go Hansowi.

Hans wypił i oblizał się.

— Dobry?

— Gdybym był wielkim mistrzem — odparł chłopak — zamieniłbym Prusy na Żmudź i nicbym nie robił, tylkobym miód pił.

— Wiesz co, Szenberg, — rzekł mistrz — weź Hansa na podjazd. Głupi jak but, ale spryt ma. I szwargotać po polsku trochę umie, więc języka dostanie. Gdy kto na jego cielecą mordę popatrzy, to się tak roześmieje, iż mu szabla z rąk wypadnie. Przytem jak mieczem płatnie, to samego Sołuchę przetnie. Patrz, jakie ma łapy.

Hans z głową przechyloną na prawy bok, z lewem uchem wysuniętem naprzód, bardzo śmiesznie wyglądał, a gdy wyciągnął przed siebie olbrzymie ręce, to wszyscy parsknęli śmiechem.

— Czysta małpa — zawołał Szenberg.

— Weź go — rzekł mistrz — ale odwieź napowrót, bo lubię tego durnia.

III.

Nazajutrz Hans przebrany za knechta jechał z kilkunastu innymi za Szenbergiem ku granicy żmudzkiej.

Podpatrywali to tu, to tam, lecz nigdzie nie spostrzegli nic, coby kazało sądzić, iż na Żmudzi czegoś się spodziewają. Szenberg chciał koniecznie wiedzieć, co się w Wiknianach dzieje.

Nocą podsunął się o kilka staj od osady. Zupełna cisza panowała dokoła. Ani śladu czujności. Ruszył więc jeszcze dalej. Na lewo bór ciemny, na prawo Szeszuwa płynęła cicho. Byli na żmudzkiej stronie.

— Nie taki to Solucha czujny, jak o nim powiadają, — pomyślał Szenberg. A może mu starość już dolega i uprzykrzyło się czuwanie, gdy widzi, że spokój panuje? Tak pewno na całej Żmudzi sądzą. Trzeba będzie ten miesiąc, który ich dzieli od napadu, jeszcze ciszej siedzieć, aby wszelkie podejrzenia usunąć.

Tak rozmyślając, jechał Szenberg zwolna i już miał dać rozkaz do powrotu, gdy wtem coś świsnęło w powietrzu i w tejże samej chwili zwałił się tuż obok niego rajtar z konia.

Jeszcze Szenberg nie mógł zrozumieć, co się stało, gdy nowy świst i znowu drugi jeździec padł. Trzecia strzała utkwiała w kulbace Szenberga, a potem znowu jeden rajtar znikł z oczu...

Rycerz konia na miejscu zawrócił i krzyknął na swoich: „Forwärts!“ Gnali, co sił starczyło ku pruskiej granicy, a za nimi odezwał się rychło tentent pogoni. Niemcy ostrogami popędzali konie, co tchu w nich było. Padło kilka strzałów i jeszcze dwóch rajtarów zsunęło się z koni. Szenberg w ciemności nie widział nawet, kogo uchyło. Dopiero, gdy pogoń ustąła, opatrzył się.

— Verflucht! — krzyknął — będzie mistrz zły, — Hansa ubili. — I pognał znowu.

Tymczasem Hans nie był zabity, — ale koń pod nim padł, a jego samego schwytano żywcem tak nagle, iż nawet nie mógł się bronić.

Bitny na sznur go wzięt, do siodła przytroczył, i popędzając konia, do Wiknian skierował.

Hans nie mógł swemi nogami końskim nadszyc. Zaczął się plątać i upadł wreszcie.

— A, co tam będę szelmę niemiecką ciągnął! Lepiej odrazu w łeb palnąć — zawołał Bitny.

Zatrzymali konie, zsiadli, pociemku przywiązali Hansa do drzewa.

— Pomódl się, gałganie, jeśli umiesz — rzekł Bitny.

Hans, wpół nieprzytomny, nie zrozumiał zrazu; dopiero gdy mu powtórzył Bitny, by się gotował na śmierć, rzekł półgłosem:

— Aus!

Posmutniał, spojrział dokoła, ale twarzą ludzką nie mógł dokładnie dopatrzeć, bo i ciemno było, i łzy mu oczy zamgliły. Opuścił się na kolana, zdjął kapełusz skórzany, złożył ręce i w głos zaczął się modlić:

— Ojczy ty nasz, Któryżes jest w niebiesiech! przyjdzie królestwo Twoje, będzie Twoja wola, jako tam w niebiesiech, takóž i tu na ziemi...

Bitny, który się był odwrócił od jeńca, usłyszawszy modlitwę polską, zbliżył się nieco. Poprzekręcane słowa, dziwnie go uderzyły. Słuchał dalej, wreszcie, gdy Hans wymówił: „jako winy odpuszczamy wszystkim naszym winowajcom“, przyskoczył nagle ku niemu i zapytał po polsku:

— Ktoś ty taki?

— Trochę błazen, trochę rajtar, trochę pacholek wielkiego mistrza, Hans Bitner...

— Bożeż ty mój! — zawołał Bitny i drżącymi rękami zaczął krzesać ognia. Długo trwało, nim smolne łuczywo dało płomień, a kiedy wreszcie blask padł na twarz Hansa, stary wstrząsnął się, oczy zaczął przecierać i wpatrywać się w klęczącego wciąż jeńca.

— Zkądżeś ty, mów!

— Z Gdańska, krzyżacy złapali.

— Jaśku, Jaśku, syn żeś ty mój! — ryknął Bitny

z płaczem i rzucił się do jeńca, i tulił do siebie, i tza-
mi twarz mu zalewał...

A Hansa takie łkanie chwyciło za gardło, iż sło-
wa przemówić nie mógł.

Teraz dopiero pan Łopot i Jurko rzucili się prze-
cinać sznur, którym chłopak był do drzewa przywią-
zany.

Hans zaczął ciężyc staremu w ramionach, wre-
szcie osunął się na ziemię.

— Zemdlą! — krzyknął Bitny — wody, na miłość
Boską wody!

Jurko w mig skoczył ku rzece i rychło z wodą
powrócił. Gdy chłopak odzyskał przytomność, stary
znowu zaczął go ścisnąć i całować.

— Dzieckoż ty moje! — wołał i wpatrywał się
w odnalezionego syna przy słabem świetle łuczywa.

— A matka, a Grześ? — zapytał nagle.

— Ubici — odszepnął Jaśko.

— A tyś ocalał!

— W głowę mię trzasnął rajtar; upadłem i za-
cząłem jęczyć. Niezła była bestja, więc mię wziął na
siodło i do Królewca powrócił. Tam byłem do dziś.
I żołnierki uczyli i do posług brali. Ostatnie lata
mistrzowi samemum służył.

— Boże, wielki Boże! dzięki Ci, żem choć je-
dno odzyskał — szeptał stary Bitny. Upadł na kola-
na i długo modlił się gorąco.

Ruszyli do domu.

Jaśka ojciec podtrzymywał na koniu, sam szedł
obok.

Radość zapanowała we dworze wielka. Stary
Sołucha aż się spłakał, dowiedziawszy się o wszyst-
kiem.

Jaśko bardzo był osłabiony, bo i koń go tego przygniótł i ojciec ścisnął sznurem i gnał tak, że chłopcu naprawdę tchu brakło. Nie dali mu więc wiele mówić, lecz, nakarmiwszy i napoiwszy, położyli. Rychło usnął snem kamiennym.

Gdy następnego dnia wstał, było już około południa. Zasadzono go do wspólnego stołu; wszyscy mu się ciekawie przypatrywali, a prawie każdy uśmiechał się na widok jego dziwnie śmiesznej twarzy.

Jaśko dziś jeszcze głupiej wyglądał, niż zwykle, a lewe ucho tak wysuwał naprzód, jakby niem łapał głos w powietrzu.

Staremu Bitnemu łzy kręciły się w oczach, gdy spojrzał na syna. Prawda, że Jaśko i dzieckiem nie był ładny, ale teraz....

— Ot, co mi z dziecka zrobili — rzekł i łzy ciurkiem z oczu mu się puściły.

— Tatuś! — ryknął Jaśko i do nóg mu się rzucił.

— Głowę rozbili i mózg z niej wyciekł, czerep tylko został i głupota.

Wszyscy ze współczuciem patrzyli na bolejącego ojca.

Ale Jaśkowi coś się nagle stało, bo, choć łzy jeszcze toczyły się po twarzy, zerwał się na równe nogi, głowę na bok przechylił, twarz śmiesznie wykrzywił, ogromne łapy przed siebie wyciągnął i zapytał:

— Tatuś, albow to ja naprawdę taki głupi?

— Synem ukochanym zawsze mi jesteś...

— Ale łapy mam większe od ojcowych, a i siła jest — rzekł Jaśko wesoło i, rozejrzawszy się dokoła, skoczył do kąta izby, gdzie stał drąg gruby, żelazny, którym w razie potrzeby podpierano drzwi. Schwycił go za dwa końce, potem kolanem w połowie podparł,

po chwili kolano wysunął i już tylko w rękach giał żelazo, które, jakby w ogniu rozgrzane i coraz miększe, coraz szybciej się zginało. Już garście się zeszyły, a Jaśko giał dalej, obręcz się zmniejszała, a końce sztaby wysunęły się jakby końce kokardy...

— Ah! — zawołali wszyscy z podziwu.

Tymczasem Jaśko sztabę rzucił, wlaź pod ogromny dębowy stół, który ledwo czterech ludzi dźwignąć mogło i — nagle stół zaczął się sunąć ku drzwiom, aż uderzył o nie. Drzwi się otwały, a Jaśko wyskoczył do sieni, a potem na podwórze takim susem lekkim, jak zajac. Wszyscy za nim. Ale on, uchwyciwszy po drodze w sieni swój ciężki miecz krzyżacki, gnał z szybkością strzały ku bramie zamkniętej. W oczach patrzącym zabłysło raz, drugi, trzeci i grube wrzeciądze żelazne, rozcięte szalonymi uderzeniami miecza, puściły bramę, która zwała się na ziemię.

— Jaśku, Jaśku! — zawołał Bitny. — Oszalał chłopak zupełnie!

A Jaśko, śmiejąc się, podszedł ku patrzącym, panu Sotusze do kolan się skłonił i rzekł cicho:

— Przepraszam waszą wielmożność, ale to ojcowska siła wszystko narobiła. A jakom nie zupełnie głupi, to tylko proszę mię puścić do kuźni, a ja wrzeciądze poprawię, lecz trochę twardsze zrobię, bo te mało mają hartu, jak воск się krają.

— Nie gniewam się, zuchu! — rzekł pan Witold.

— Już ci chyba i twoją głupotę muszę wybaczyć — rzekł Bitny.

Jasiek zamyślił się bardzo. Nagle uderzył się ręką w czoło i krzyknął.

— A, pewno, żem głupi, oj głupi, jak krzyżacka świnia!

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Ale on nie śmiał się, jeno brwi zmarszczył, a ruszając naprzód, wołał:

— Zaraz poprawię, zaraz, proszę tylko do izby.

Poszli za nim, pewni, że figla jakiegoś sprawi, a siłę swą znowu pokaże. Lecz Jaśko szedł przodem poważnie i raźniej, niżli zazwyczaj.

Gdy stanęli w izbie, drzwi zamknął i rzekł:

— Wasze wielmożności! O mało co Krzyżacy nie zrobili ze mnie świni. Otom chleb wasz jadł, a nie powiedziałem, co wiem! Na wojnę Krzyżacy się zbierają, na Żmudź, na Litwę; za miesiąc napadną, ogniem zniszczyć chcą dobytek, żelazem ludzi wymordować, miody wypić!

— Co ty pleciesz! — krzyknął ojciec.

— Prawdę mówię. Wszystko postanowione; za miesiąc ruszą, a teraz oto podchodzą granicę i szpiegują, co tu się robi. Z takim podjazdem szliśmy, gdyście nas wytropili.

— Czyżby to być mogło?

Pan Sołucha wziął Jaśka łagodnie za ramię, posadził obok siebie na ławie i rzekł:

— Mów, chłopcze, wszystko, co wiesz, i skąd wiesz?

Jaśko opowiedział dokładnie, co słyszał pode drzwiami u wielkiego mistrza.

— Żmije! — syknął pan Kuniglis.

— Niedoczekanie wasze! — zawtórował pan Łopot.

A stary Bitny patrzył na syna i słuchał. Twarz coraz mu się wypogadzała, aż nareszcie zawołał:

— Jaśku, toś ty wcale nie głupi, tylko taką głębę masz!

— Bo mię krzyżak tylko z jednego boku rznął, a żem był mały i głowę miałem miękką, więc się spłaszczyła i na bok przekreśliła.

— Nie boli-ż cię nigdy?

— Boleć nie boli, ale na lewe ucho źle słyszę, chyba, że je naprzód wysunę. Tylko mi jakoś pamięć o was zamroczyło. Czasem to mi się coś tak zdawało, coś przypominało, czułem, żem wśród obcych, lecz to przechodziło. Zwykłem się z Krzyżakami.

— Możesz ich pokochać?

— Byłoby kogo! — zaśmiał się Jaśko. — Hołysze to takie, że ich ino żal. Żebym tak był zaczął ostrzej wycierać buty wielkiego mistrza, toby bosy został, bo nowych nie ma za co kupić. Z własnego kościoła srebra pozastawiał, a i tak już grosza przy duszy nie ma. Co lepsze wina i miody pod moim kluczem były, bo wielki mistrz wiedział, żem nie złodziej. I inne-muby nie zaufał, boby mu wkrótce przyszło chyba gąsiorki oblizywać z pleśni.

— Aleś do domu nie myślał? Przecie mogłeś uciec?

— Nie myślałem. Czasem to tam i kopnęli, ale wogóle nieźle mi było i zapomniałem o swoich. Dopiero gdyśmy przekroczyli granicę, jakoś mi się dziwno zrobiło.

— A kiedym cię złapał?

— To i wiedziałem, że koniec wszystkiemu. Wiedziałem, że życia nie darujecie. Znają was Krzyżacy. Nie małam się nasłuchać. Ot i nie myślałem już nic więcej. Jeno gdym usłyszał, żebym się gotował na śmierć, coś mię za serce chwyciło. Nigdy nie płakałem, a tu czuję mokro w oczach. Zapomniałem był pacierza polskiego, bom się u krzyżaków nauczył po

niemiecku, aż tu polski sam mi lezie na język. Modłę się w głos, aż przypominam sobie, jak to dawno już, w domu bywało, każecie ojcie klęczeć, a ja Ojczenaszka mówię nie tak, jak ksiądz każe, a wy ojcie powiadacie: „będziesz ty swoje trzy grosze do pacierza dodawał, to i ja ci dodam....“

I wspomniałem wasz rzemyk, ale mię już nie bolało nic, tylko żal straszny za wami, za matką biedną, i łzy oczy zalewają.... A wyście mnie po tym pacierzu poznali.

Stary znowu zapłakał i znowu uściskał syna i już nie mówił, że głupi jest.

Do samego wieczora opowiadał Jaśko o krzyżakach, ich zamiarach, siłach, a tak dobrze wszystko opisał, iż pan Sołucha zawołał:

— Ej damyż my im, damy! Im to się porywać na naszą Rzeczpospolitą! Jutro jadę do pana starosty Żmudzkiego, a wy tu pilnujcie mi granicy, a cicho, ani się ruszyć dalej, na ich ziemię. Ludzi garść z drogi przyszlę, lecz cicho z nimi siedźcie. Niech Krzyżacy zaczynają — ale łupnia dostaną!

Zwracając się do Bítnego dodał:

— Cieszcie się synem, panie Grzegorzu, a da Bóg, odplaciecie rychło Krzyżakom. Wszystko wola Boska. Oto przez tego syna waszego dziś zbawienie dla nas, bo mamy czas przygotować się i kraj od klęski uratować.

IV.

Następnego dnia skoro świt, pan Sołucha z luzakiem tylko wyruszył do blizkich Taurogów, do księcia Radziwiłła, starosty Żmudzkiego. Księcia nie zastał, więc do Kiejdan pognął, spodziewając się tam go znaleźć.

Lecz i tu go nie było, bo właśnie przed kilku godzinami w drogę do Birż wyruszył.

Sołucha, chociaż bardzo zdrożony, niedługo się namyślał: poprosił o konia tęgiego i pacholka świadomego drogi, i ruszył z pośpiechem w pogoń za księciem.

Radziwiłł, człek rycerski, nie leniwo jeździł, więc spory kawał musiał Sołucha gnać, nim go doścignął.

Ujrawszy Sołuchę na koniu, ledwo dyszącym, książę domyślił się, iż coś ważnego zajść musiało. Sołucha w kilku słowach opowiedział, co go przywiodło. Wziął go książę na bok i szczegółowo wypytał, a w miarę jak słuchał, marszczył się.

Książę Radziwiłł był to człek lat około czterdziestu pięciu, wysokiego wzrostu, z długą śpiczastą brodą, twarzą poważną. Brwi miał ogromne, a gdy je ściągnął, strasznym się wydawał. Za to gdy uśmiech okolił mu usta, był tak miły, iż wszyscy lgnęli do niego.

Teraz stał zmarszczony, zasluchany, pochłaniający każde słowo.

Nareszcie, wysłuchawszy wszystkiego, zaśmiał się:

— Ha, damże ja im, dam!

Klasnął w dłonie, a gdy sługa rękodajny podbiegł, kazał rozłożyć stolik i przygotować co było trzeba do pisania.

— Ale wpierrw daj kawałek kilimka, aby było na czem usiąść, i wina gąsiorek.

Teraz dopiero spojrział uważnie na Sołuchę.

— Aleś waść zmęczony! — zawołał.

— Nie to, mości książę — rzekł pan Witold — przywykło się do trudów i większych nawet.

Już też służba nadbiegła z kobiercami i poduszkami, ze stolikiem składanym, gąsiorkiem i kubkami srebrnymi. Książę przypił do Sołuchy, mówiąc.

— Za zdrowie twoje, panie bracie! dużoś się zasłużył.

— Powinność to moja — odrzekł Sołucha.

Dano zakąski z zimnego mięsa i pan Sołucha pokrzepił się.

— Teraz — rzekł książę — legnij waść wypocząć, a ja listy pilne rozpiszę.

Jakoż gdy pan Witold odszedł na bok i wygodnie się na dywanie rozciągnął, książę zaczął półgłosem dyktować sekretarzowi swemu listy do króla, do hetmanów i innych osób, powołanych do obrony kraju. Upłynęło ze trzy godziny, a gdy wszystko było gotowe, książę zawołał:

— W drogę, na Kiejdany do Taurogów!

Służba wielce się zdziwiła, lecz szybko zabrała się do spełnienia rozkazów. Kilku posłańców popędziło w różne strony z listami, a książę z dworem zawrócił. Pana Witolda posadził obok siebie w kolasie,

aby po drodze jeszcze wypytywać i myśli swych mu udzielić.

Nie dojeżdżając do Taurogów, Sołucha wsiadł na koń i lasami popędził do Wiknian. Ledwo książę wysiadł z kolasy przed swym dworem, rozległ się na podwórzcu tentent koni i pojawił się Sołucha z Jaśkiem Bitnym. Czekali ledwo tyle, ile trzeba było na spieszne przebranie się księcia, gdy ich do niego powołano.

Dziwował się cały dwór postaci Jaśka, ale nikt ani się zaśmiał, widząc, iż ważną musi być osobą, skoro książę go przyjmuje na osobności. Ale jeszcze większy był podziw, gdy spostrzeżono, że Sołucha z Jaśkiem siedzą u księcia w zamkniętej komnacie kilka godzin.

Jaśko musiał opowiadać wszystko, co wiedział o Krzyżakach, a okazało się, że wiedział bardzo wiele. Znał wszystkich komturów i przedniejszych rycerzy, wiedział, ilu gdzie żołnierzy stoi i co są warci, jakie zapasy gdzie się znajdowały, słowem wszystko, o czem tylko na zamku wielkiego mistrza wiedzieć było można.

— Dużo rycerstwa nie zbierze mistrz — mówił Jaśko — ot może z dziesięć lub dwanaście hufców, ale drapieżne to będzie, bo głodne. A może właśnie dlatego, że w domu nie mają co jeść, na oślep się rzucają, byle dobrać się do chleba cudzego. Tem łatwiej ich będzie podpatrzeć i znieść.

— To ty się znasz, widzę, na wojaczce — rzekł książę z uśmiechem.

— Albożem tam mało się na Krzyżaków napatrzył, mało nasłuchiwał, co u mistrza mówiono? A com

słyszał, to we mnie zostawało. Co było robić, gdy dokoła gadano, albo gdy trzeba było godzinami siedzieć pode drzwiami mistrza i pilnować, aby nikt nie podsłuchiwał?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się głośno książę, — a to mistrz trafił! Ale, pewno będą się mieli na ostrożności, widząc, żeś uciekł, czy złapany przez nas.

— Myślę, że nie, bo najpierw nie mogą sądzić inaczej, tylko żeś umoty, a nawet gdyby wiedzieli, żeś się tu dostał, to sądzą, żeś tak głupi, iż nic nie wiem. Inaczej mię nie nazywali, jak „dummer Hans“; i za to mię mistrz lubił, żeś był głupi a uczciwy, bom nigdy nic nie ukradł.

— A wiernyś ty nam? — zapytał książę.

Jaśko skrzywił się, czoło mu się sfałdowało, a potem łzy potoczyły się po policzkach.

— Albożem to cudzy?

Książę położył mu rękę na ramieniu i rzekł głosem łagodnym:

— Wybacz, chłopcze, lecz tyle nieszczęść na nas spadło od Krzyżaków, iż musimy być ostrożni.

— A ja tyle lat przeżyłem w niewoli krzyżackiej, żeś zapomniał, kim jestem, lecz odkąd żyję pod dachem pana Soluchy, zrozumiałem wszystko i tylko nie wiem, za co więcej bić Krzyżaków: czy za rabunki, czy za śmierć matki i brata.

— Za wszystko razem! — zawołał pan Witold.

— Bóg da, że rychło nabijesz się dowoli, to i rozradujesz się! — zaśmiał się Radziwiłł.

— Ja tak i myślę — odparł z prostotą Jaśko.

— Czyżes ty taki do bitki dzielny? — zapytał książę, spoglądając na śmiesznie małą postać Jaśka.

W tej chwili doleciał z podwórca tentent i hałas ogromny. Książę wyrzwał przez okno, Sołucha i Jaśko przez drugie.

Koń rosły szalał po podwórzu. Grzywa rozwiana, z nozdrzy zdawało się skry padają, a w oczach wyraz dziki. Służba stajenna i żołnierze milicji książęcej uganiaли się za rumakiem, ale żaden nie mógł przystąpić, bo koń to zadniemi nogami bił, to do zabiegających z przodu stawał dęba i gotów był zwalić najtęższego śmiałka.

Nagle...

— Ależ to szalony chłopiec! — krzyknął książę, ujrzawszy, co się dzieje.

Oto Jaśko wyskoczył z dworca i pędem pobiegł na przelaj podwórza ku rozhukanemu rumakowi. Wszyscy stanęli osłupieni na widok tego karlika, tak zuchwale rzucającego się na pewną śmierć.

Jaśko przecinał koniowi drogę z boku. Gdy się znalazł tuż prawie, koń zwrócił się do niego i wspiął przedniemi nogami tak wysoko, że rosły chłop mógłby pod niemi stanąć. Krzyk przerażenia wydobył się z ust patrzących.

Tymczasem Jaśko jak kot skoczył koniowi do pyska, za trzęźłę chwycił i tak silnie szarpnął, iż koń nietylko na przednie nogi stanął, lecz aż na kolana przypadł. Trwało to мгновение oka. Potem poborykał się chłopak trochę z koniem, aż ten, czując się w żelaznej ręce, dał się spokojnie poprowadzić do ganku.

Tu już książę i Sołucha wybiegli. Pan Witold chłopca uściskał, a Radziwiłł zawołał:

— Żebym nie widział na własne oczy, nikomu bym nie wierzył!

Szepnął coś masztalerzowi, a gdy po chwili wyprowadzono tegoż żmudzkiego konia, pięknie okulbaczzonego, książę rzekł:

— Masz, chłopcze, na pamiątkę dnia dzisiejszego i obyś na tej kulbace długie lata pożytecznie służył krajowi. A że szlachcicem będziesz rychło, na to daję rękę.

I uścisnął dłoń Jaśka w obec całego dworu.

Jaśko do nóg księciu się pokłonił, a łez powstrzymać nie mógł:

— Żebym to ja wtedy był taki mocny, nie dałbym był matusi mojej!—zawołał.

Po wieczerzy pan Sołucha z Jaśkiem pojechali do domu.

V.

W Wiknianach cisza zapanowała jeszcze większa, niżli była dotąd. Rozeszły się słuchy, iż Sołucha zachorzał i z domu nie wychodzi, a panowie Kuniglis i Łopot opuścili go i niewiadomo dokąd pojechali.

Ktoby z krzyżackiego brzegu był podpatrywał we dnie Wikniany, przekonałby się, iż tam rzeczywiście spokojniej było, niż dawniej, i uwierzyłby, że chyba pan musi być chory, bo zupełnie zaniedbano stróżowania granicy.

Pomimo owej porażki nocnej, Krzyżacy podkradali się jeszcze nieraz pod Wikniany i posyłali włóczęgów na

przeszpiegi. A wszyscy jednakie przynosili wieści — Sołucha chory, towarzysze jego odjechali, a wnuki i paru służby drzemią przy panu i tylko jego zdrowiem się troskają.

Wywiedziawszy się wszystkiego dokładnie, już Krzyżacy więcej nie podchodzili i stało się na ich brzegu tak cicho i spokojnie, jak w Wiknianach.

Tymczasem Sołucha wcale nie był chory, a tylko wierni jego takie słuchy roznosili. Zdrowszy niżli kiedy, ukrywał się co prawda, ale nie drzemał. Nocą robił wycieczki, rozstawiał straże z ludzi, których mu Radziwiłł przysłał, pilnował porządku i często dopiero nad świtaniem do domu wracał. Odwiedzali go też ludzie różni, z którymi w ukryciu rozmawiał, listy przyjmował i odpowiedzi pisał. Kuniglis i Łopot byli też nieopodal na czele kilkudziesięciu ludzi, w gęstym lesie ukryci.

Najrzadziej można było spotkać starego Bitnego, bo ten gdzieś się po świecie włóczył. Przyszedł czasem nocą, kurzem okryty, zmęczony. Z panem Sołuchą pogadał, legł gdzie się dało, przespał resztę nocy i dzień następny, wziął szmat chleba do sakwy i znowu przepadał na kilka, albo i więcej dni.

Ku końcowi lipca pewnej nocy Bitny powrócił do Wiknian znużony, słaniający się na nogach, od pyłu aż czarny.

Gdy wszedł do komnaty pana Sołuchy, ledwo wyszepnął:

— Idą...

Sołucha porwał się z ławy, ale, spojrzawszy na Bitnego, sam pobiegł do lochu, wrócił po chwili z gąsiorkiem miodu, nalał kubek spory i napoił zdżożonego. Usadził go wygodnie, jeszcze drugi kubek

nalat, a dopiero gdy Bitny nieco siły odzyskał, zawołał, przysuwając się doń:

— Opowiadaj co żywo.

— Już wyruszają z Królewca cichaczem. Mają się skupić pod Tylżą, przesunąć niepostrzeżenie ponad Niemnem i około Jurborga wkroczyć na Żmudź. A może się rozdzielią, jeśli ich będzie więcej: część pójdzie w górę i powyżej Taurogów przejdzie granicę. Jeszcze ich siły nie pewne. Liczą na dwa tysiące, a tymczasem ku nam ciągnie nie więcej nad pięćset rajtarji. Rycerstwa niewiele, przeważnie knechci, ale zażarci, bo głodni.

— Dalekoż mogą być?

— Idą tylko nocami, skrywają się. Nie mogą być rychlej, jak za tydzień.

— To dobrze! Zaraz Jaśka do księcia posyłam!

Po chwili Jaśko wszedł do komnaty. Nie było czasu na długie witanie. Wysłuchał uważnie wszystkiego, co ojciec mówił, czasem jeszcze o jakiś szczegół zapytał i rychło wysunął się ze dworu cichutko, prowadząc konia za uzdę.

Dopiero oddaliwszy się znacznie od granicy, wskoczył na koń i pognął z kopyta, co sił starczyło.

Nad świtaniem był w Taurogach i bez zwłoki kazał się prowadzić do księcia.

Radziwiłł wysłuchał go z uwagą, poklepał po ramieniu i rzekł:

— Wracaj, chłopcze, i powiedz ojcu, że jakem Radziwiłł, tak lepiejbym się od niego nie spisał. A panu Sołusze powiedz: do widzenia dziś jeszcze.

Pocwałował Jaśko do domu, gdzie cisza panowała, jakby nic ważnego nie zaszło.

Wieczorem przyszedł Kuniglis i wnet obaj z Sołuchą wyszli i zniknęli w gęstym lesie.

Uszli ze dwie mile, gdy natrafili na silny oddział jezdnych. Był to Radziwiłł z wojskiem, ludzi tęgich i dobrze zbrojnych około trzystu.

Długo trwała narada. Gdy skończono, Sołucha z Kuniglisem i trzydziestu konnymi skierowali się ku Wiknianom, książę pociągnął na południe ku Niemnowi.

Po drodze rozstawiał po dwóch, trzech konnych tak, aby mógł mieć rychłe wieści od Sołuchy, lub jemu rozkazy posyłać.

Wojsko posuwało się tak cicho, że nawet ptactwa nie budziło, a Sołucha ze swoimi tak się skradał, że najbystrzejsze oko wroga, gdyby był na granicy, nie dopatrzyłoby niczego.

Nocą Sołucha sam objechał wszystkie posterunki, które już dawniej były porozstawiane, wydał rozkazy, umówił znaki i nad ranem powrócił do domu.

Tu z Jurkiem i obydwoma Bitnymi wyczekiwał. Oddział, dany przez Radziwiłła, stał wpobliżu, ukryty w lesie. Wierna służba i kmiecie ukradkiem dostawali wojakom pożywienia, a kilku starych doświadczonych Żmudzinów dzień i noc leżało w zaroślach nad Szeszuwą, śledząc, czy nieprzyjaciel się nie zbliża.

Jaśko nie mógł usiedzieć z niecierpliwości. Wreszcie ulitował się nad nim Sołucha i puścił go na krzyżacki brzeg.

— Tylko strzeż się, bo szkodaby cię było.

Jaśko zaśmiał się głośno i wnet zniknął.

Na drugi dzień wpadł zdyszany.

— Ragnitę minęli, na Jurborg ciągną!

— Do księcia! — krzyknął Sołucha.

Jaśko pognął ku lasowi, tam porwał pierwszego konia, jaki mu się nawinął, i zostawiając zdziwionych wojaków, popędził.

Pan Sołucha wydał rozkazy. Pociągnął małe oddziały, co stały na granicy, ku północy, zostawił w Wiknianach ludzi nie więcej nad dziesięciu, a z oddziałem z trzydziestu ludzi, których mu książę ostatnio dał, posunął się ku południowi.

W drodze spostrzegł, iż Krzyżacy już się przeprawili przez Niemen i posuwają się przed nim. Znowu więc pchnął posłańca bocznymi drogami do księcia, pewny będąc zresztą, że Jaśko już jest przy nim i Krzyżacy nie napadną niespodzianie.

Wtem nadbiegł żołnierz od Radziwiłła z rozkazem, aby oddział sunął w głąb kraju. Książę cofnął się od granicy spory kawał, by tem pewniej zwabić Krzyżaków i na swojej ich zaskoczyć ziemi, aby się nie wyklamali przed całym światem, że u siebie byli i Radziwiłł ich napadł.

Udała się sztuczka.

Krzyżacy weszli na Żmudź cichą, jakby bezbronną, ufni, że ich wyprawie nikt nie przeszkodzi, posuwali się wolno naprzód.

Nagle jadący na przedzie rycerz zachwiał się i spadł z konia...

Jeszcze nie zrozumieli Krzyżacy, co to znaczy, gdy i drugi zwałił się na ziemię...

W tej chwili świst strzał, wypuszczonych wprawna ręką z łuku, dał im poznać, że ta cicha kraina nie jest bez obrońców.

Dowódea wstrzymał cały oddział, wysuwając naprzód tylko jeden huf rajtarów.

Strzały z łuków ustały, huf posuwał się zwolna, aż ujrawszy na końcu polany żmudzkich rycerzy, wstrzymał się. Nie było wyboru. Żmudzini na rączych koniach wysunęli się naprzód i z gołymi mieczami rzucili się na Niemców.

Zawrzał bój na ostre.

Oddział niemiecki liczył stu ludzi, naszych zdawało się być więcej. Wódz krzyżacki kazał się bić do upadłego, a dopiero w ostateczności zwolna cofać. Patrzył czas jakiś na walkę. Nasi, rojący się na skraj polany wśród drzew, zdawali mu się bardzo liczni, więc dał znak do odwrotu, rozkazując tym, co w boju byli, by wstrzymywali nieprzyjaciela.

Liczył, że ten oddział jeden wstrzyma naszych dość długo, a on z całą siłą będzie mógł ujść daleko, na ziemię pruską, gdzie już czułby się bezpieczniejszym.

Cofał się szybko ku Ragnicie, by się tam przeprawić przez Niemen.

Zrazu cofanie się szło nieźle; ale kiedy hufiec, który bronił odwrotu, został rozbity, w popłochu umykał z takim pędem, iż, do swoich dobiegłszy, szyki im popsuł. Popłoch udzielił się i tym hufom, które jeszcze walki nie widziały. Ledwo udało się utrzymać jaki taki porządek i cofać się dalej, gdy tentent naszych koni coraz wyraźniej zaczął dobiegać do uszu Niemców.

W strachu pędzili Krzyżacy przed siebie, nie rozpytawszy nawet uciekających niedobitków, jak silni są Żmudzini. Strach ich gnał.

Dopiero gdy konie zaczęły ustawać, spostrzegli, że pogoni niema.

Odetchnęli swobodniej.

Teraz wreszcie wódz rozpytał się o siły Żmudzi-

nów i dowiedział się, że nie musiało ich być więcej nad stu, albo stu pięćdziesięciu.

Jak wściekły ryknął przekleństwami.

— Hańba nam, hańba uciekać przed taką garścią!

Wracać na stracone pole bitwy niepodobna było. Konie bokami robiły, ludzie zgrzani, pomęczeni, zniechęceni. Trzeba było cofnąć się ku Ragnicie, wytchnąć trochę i śmiało uderzyć naprzód.

Nasi jak w wodę wpadli. Dwa dni nie pokazali się.

Krzyżacy wypoczęli, uszykowali się i już nie po nad Niemen, ale wprost, najbliższą drogą ku naszej skierowali się granicy.

Ledwo ją przekroczyli, gdy się pokazał oddział stu jeźdźców, dobrze uzbrojonych, który śmiało zastąpił niemcom drogę.

Krzyżacy uderzyli całą siłą. Nasi dali odpór dzielny, ale krótki. Wrogów było pięć razy tyle, co naszych, a chociaż pole walki dość szczupłe, jednak przewaga Niemców zbyt była wielka. Żmudzini zachwiali się. Jeszcze bronili się z pół godziny, nagle pod gwałtownym naporem wroga złamał się ich szyk i bezładnie pierzchli.

Tego tylko Krzyżakom było potrzeba. Jak szaleńcy rzucili się naprzód. Konie długo wstrzymywane pognały, łamiąc porządek. Niemcy nie zważali na to. Pijani łatwym zwycięstwem parli naprzód, goniąc uciekających.

Nagle Żmudzini rozstąpili się na lewo i prawo i przed Krzyżakami stanął oddział liczniejszy, w bojowym szyku... Rogi żmudzkie zagrały ochoczo.

Niemcy tak się byli rozpędzili, iż niepodobna im

było powstrzymać koni i uszykować się. W nieładzie zaczęli bój.

A chociaż naszych nie było więcej nad dwustu, bo ci, którzy uciekli, jeszcze się nie zdążyli skupić, Krzyżaków zaś pędziło conajmniej pięciuset,—nieład wśród nich był taki, że wkrótce zrozumieli, iż nie zdołają naszym stawić czoła.

Padwały niemieckie cielska jak snopy, a nasi coraz silniej nacierali.

Wódz krzyżacki widział już oczywistą zgubę, więc, chcąc się ratować, dał hasło do odwrotu.

Znowu zostawił jeden huf dla powstrzymania Żmudzinów, a sam z resztą sromotnie umykał.

Ale tym razem nie powiodła mu się ucieczka. Nasi rychło złamali hufiec broniący odwrotu, wsiedli na karki umykającym i jechali na nich bez wytchnienia, siekąc po drodze, gdzie tylko który z Niemców od swoich odstał.

Trwała ta gonitwa aż pod Ragnitę. Tu Niemen przeciął Krzyżakom drogę. Chociaż znękani strasznie ucieczką, w bezładzie, na pomęczonych koniach, musieli stawić czoło.

Nasi uszykowali się rychło.

Sam Radziwiłł sprawił szyk, a na czele oddziałów stali ludzie dzielni, jak Sołucha i jego przyjaciele.

Jaśko Bitny nie odstępował Jurka Sołuchy.

Dwustu Krzyżaków padło. Reszta wpław przez Niemen umknęła, ratując życie, a okrywając się hańbą.

Jaśko w tej bitwie używał dowoli. Odpłacił Krzyżakom za ich znęcanie się nad nim, za mękę i śmierć matki i brata...

Obok niego Jurko wielkim mieczem kosił łby niemieckie.

Jak wąż dwugłowy wpijali się w kupę krzyżacką, a inni walili za nimi, rąbiąc w lewo i prawo.

Ruszono z powrotem.

Dopiero w Wiknianach zatrzymano się.

Stanąwszy koło zagrody pana Sołuchy, Radziwiłł wyciągnął rękę i, ściskając silnie pana Witołda, rzekł:

— Twoje to dzieło. Daj Boże tobie i nam, byś długie lata stróżował na granicy i abyś dożył zupełnej zagłady nieprzyjaciół.

— Daj Boże! — zawołano dokoła.

Rozłożyło się wojsko obozem w lesie i jeszcze dwa tygodnie czekało, czy wróg nie powróci. Gońców też rozesłano po granicy. Ale wszędzie spokój był. Widocznie Krzyżacy stracili ochotę napadać na Żmudź, którą sądzili bezbronną.

— Teraz do króla trzeba posłać — rzekł pewnego dnia Radziwiłł — Krzyżacy nas tam oczernią. Poszlę wszakże ludzi, którzy potrafią oświecić króla, kto winny, kto pomimo pokoju napadł.

Zamyślił się, a potem zawołał:

— Wiesz co, panie Witołdzie! daj mi wnuka, poszlę go do króla; niech się przypatrzy, niech zobaczy kawał świata — a jako najwaleczniejszy, najlepiej panu opowie, jako co było.

— Smutno mi będzie — odpowiedział Sołucha.

— Nie na długo. Za jakiś miesiąc, półtora wróci.

Gdy książę to mówił, Jaśko Bitny wpatrzył się w niego tak, że aż Radziwiłł to spostrzegł.

— A co? możebyś i ty chciał do króla z poselstwem? — zapytał.

— Dlaczegooby nie?

Książę roześmiał się.

— Zgoda! Bileś się jak rycerz, jedź-że i ty.

Zabrał Radziwiłł obu chłopców do siebie i w parę dni później wyprawił wraz z panem Czechowiczem i dwoma dworzanami do króla.

VI.

Jurko i Jaśko aż gęby rozdziawiali, podjeżdżając przez Kraków do zamku królewskiego. Jurkowi się wydawało, że dwór książęcy w Taurogach już chyba najwspanialszy na świecie. Jaśko myślał, że nie potężniejszego być nie może nad Królewiec i zamek krzyżacki.

Aż tu Kraków zupełnie ich olśnił. Miasto duże, bogate, z wspaniałymi domami, przewyższało najbujniejsze marzenia. A dopieroż zamek królewski, rozłożony na górze, z katedrą lśniącą od złota! Mury dookoła, wieżyce, bastjony, takie to potężne, iż wyobrazili sobie, że ten król, który w zamku mieszka, musi być jakiś ogromny, wprost straszny.

I podjeżdżając do zamku, sami nie wiedzieli, co ich więcej wzrusza: czy widok tych gmachów, czy strach nieokreślony przed wielkim królem.

Pan Czechowicz, który wioził list Radziwiłła, uśmiechał się pod wąsem zawieszonym, patrząc na chłopców. On znał już zamek i króla nieraz widywał. Dwóch jego towarzyszy także często tutaj bywali. Ale wszyscy milezeli, lubując się wi-

dokiem dwóch młodzieńców, którzy pierwszy raz dążyli do królewskiego zamku.

Ledwo się pan Czechowicz opowiedział, kto jest i z czem przyjechał, dano mu gościnę w zamku i jego towarzyszy mile przyjęto. Wnet też powołano go do przybocznego sekretarza króla jegomości, by pismo książęce oddał.

Nie wiele czasu upłynęło, gdy do izby wbiegli mężczyźni smukli, jasnowłosy, przystojnie odziani, i powitał wszystkich, jakby stary znajomy.

Był to Stefan Juńczyk, dworzanin króla, żmudzin, który, dowiedziawszy się o przybytych, pospieszył jak swój do swoich; bo, choć mu na dworze królewskim dobrze było, zawsze tęsknota do rodzinnego zakątka ciągnęła i chociaż pogadać o nim pragnął z tymi, którzy świeże wieści przywozili, swoją śpiewną mową mówili.

Rozpytywał o wszystko, co się na Żmudzi działo, o wycieczkę na Krzyżaków, a usłyszawszy opowiadanie o pobiciu wrogów pod Ragnitą, zawołał:

— Ho, ho, to już ja muszę tak zrobić, aby was król sam wysłuchał.

— Mogłoby to być? — zapytał Jurko wpół przerażony.

— Pan nasz dobry dla wszystkich, a już osobliwie dla tych, co trudu i krwi nie żałują.

Spojrzał na Jaśka i zapytał:

— A waść czegoś posmutniał?

— Bo nie wiem, czy mi się uda choćby zdaleka popatrzeć na majestat królewski.

— Czemużby nie? Moja w tem głowa, że król was wszystkich przyjmie.

— Jam nie szlachcic—rzekł cicho Jaśko.

— Aleś Bitny, jak mi oto Sołucha opowiada, i kto wie coby bez ciebie było.

— Nasz książę obiecał mu wyrobić szlachectwo.

— Może tam jest co o tem w liście do króla — rzekł Juńczyk — a tak czy siak, pokłonicie się najjaśniejszemu Panu.

Długo jeszcze Juńczyk gawędził z gośćmi i tyle im naopowiadał o królu i dworze, iż młodzieńcy potem całą noc spać nie mogli.

Dworzanin słowa dotrzymał, bo oto na trzeci dzień król wezwał pana Czechowicza i jego dwóch młodych towarzyszy do siebie.

Przyodziali się jaknajpiękniej i szli na pokoje królewskie, a serca były im jak młotem.

Gdy ich wprowadzono do komnaty, w której król był, oczu podnieść nie śmieli. Przez spuszczone powieki czuli; jakby blask jakiś bił na nich od tego złocistego krzesła, na którym król siedział, lecz spojrzeć lękali się.

Dopiero gdy usłyszeli łagodny głos króla, który wypytywał pana Czechowicza o całą wyprawę, powoli nabrali odwagi, podnieśli powieki i ujrzeli....

Król siedział w krześle poręczowem, w czarnych szatach, tylko łańcuch złoty spływał mu na piersi. Twarz miał piękną, łagodną, brodę niewielką, a w oczach taki wyraz rozumu i dobroci, że im się dość napatrzeć nie było można.

Wypytywał o wszystkie szczegóły i słuchał z uwagą. Czasem spojrzał na młodzieńców, a im krew biła do twarzy i oczy spuszczała.

— Dzielnieście się spisali — rzekł wreszcie król — postępujcie tak dalej, a Bóg was będzie błogosławił. O tobie — dodał zwracając się do Jaśka — pisze mi

książe. Bitny jesteś i szlachetny, to też na najbliższym sejmie zostaniesz szlachcicem.

Jaškowi łzy tak naparły do oczu i gardła, iż się powstrzymać nie mógł. Rzucił się przed królem na kolana i wybuchnął płaczem. Jurko poszedł za jego przykładem.

— Służcie Bogu i krajowi, Bóg i król o was nie zapomną — rzekł król Zygmunt i położył dłonie na ich schylonych głowach.

Gdyby nie pan Czechowicz, nie wiedzieliby młodzieńcy, jak wyjść z królewskiej komnaty, bo ze wzruszenia oczy im zupełnie zamgliło i nogi się pod nimi chwiały.

W sąsiedniej sali czekał już na nich Juńczyk i powiódł do izby.

— A co, nie masz takiego drugiego króla na świecie! — zawołał.

Jurko i Jaško długo przemówić nie mogli. Aż gdy się uspokoili, nuż przypominać każde słowo królewskie, każde spojrzenie, każdy ruch. I znowu ich wzruszenie opanowało i znowu łzy polały się po ich policzkach, łzy radości, szczęścia, wdzięczności dla tego laskawego monarchy.

Kazano im pozostać na zamku.

Król obdarzył wszystkich kosztownymi szatami i doskonałą bronią. Jaško żałował, że spać nie może w tym stroju i z szablą przy boku, którą od króla otrzymał. Kładł je na noc tak blisko siebie, iż, ilekroć się obudził, ręką mógł ich dosięgnąć.

Wesołe dni pędzili na zamku. Poznajomili się z dworzany, a że wnet już wszystkim było wiadomo, jako się dzielnie sprawili z Krzyżakami, więc ich.

choć młodych, szanowano. Twarz Jaśka wyszlachetniała, już też nie tak często przekrzywiał głowę i mniej był śmiesznym, niż dawniej.

W szatach pięknych przystojniej jakoś wyglądał.

Upłynęło parę tygodni, aż tu dwóch Krzyżaków przybyło z Królewca z pismem od mistrza do króla i z ustnem poselstwem.

— Ze skargą pewno — rzekł Juńczyk.

Rzeczywiście, mistrz skarżył się na księcia Radziwiłła, iż ziemie zakonne napadł, przeszło dwustu rycerzy w pień wyciął i kraj zrabował.

Król, list przeczytawszy, na następny dzień naznaczył posłuchanie.

Przyjął posłów w obec liczego dworu, uroczyście, uprzejmie.

Starszy z posłów zaczął opowiadać obszernie, jaka to krzywda stała się zakonowi. Król nie przerywał, więc Krzyżak coraz śmielej kłamał, dzikość Radziwiłła opisując.

— Skończyliście?—zapytał wreszcie król.

— Tak jest, najmiłościwszy panie.

— I prawda-li to wszystko?

— Prawda najświętsza!

Król skinął ręką.

Zbliżył się pan Czechowicz, a obok niego Jaśko Bitny i Jurko Sołucha.

Jeden niósł Ewangelię bogato oprawną, drugi krzyż czarny hebanowy, z Chrystusem z kości słoniowej.

— Na ten krzyż święty przysięgnij, jako prawdę mówiłeś!—zawołał król głosem poważnym.

W tej chwili Jaśko wystąpił naprzód i podniósł krzyż przed same oczy Krzyżaka.

Krzyżak spojrział przed siebie i nagle zbladł strasznie

— Hans... — wyszeptał.

— Rycerzu von Szenberg — krzyknął król groźnie — skłamałeś!

Łagodne zazwyczaj oblicze króla Zygmunta przybrało wyraz srogi. Wyciągnął rękę przed siebie i wskazał drzwi.

Dworzanie rozstąpili się.

Chwiejnym krokiem, z oczyma spuszczonemi, wymknęli się rycerze krzyżaccy z sali i, ledwo dopadli koni, odjechali co żywo z zamku.

VII.

Upłynęły z górą dwa lata od powrotu Jurka i Jaśka z Krakowa. A choć to niby spokój panował, czuwać musieli dniem i nocą i sypiali, jak to mówią, jednym uchem tylko.

W ziemiach zakonu wciąż coś szumiało, jak w garnku wrzącej wody. Rycerze zbroili się, komturowie zjeżdżali na naradę do Wielkiego mistrza, a biedny naród, czując, że wszelki niepokój, wszelka walka o niego się odbija, szemrał coraz głośniejsze, nie mogąc nastarczyć pieniędzy, których od niego żądano.

Opowiadano głośno, że Wielki mistrz szalał z gniewu, gdy Szenberg powrócił z Krakowa. Odgrażał się zemstą, zniszczeniem całej Żmudzi i Litwy, a prze-

dewszystkiem Wiknian, bo podejrywał, że tam to złapano Hansa i dowiedziano się o planach krzyżackich. Nie domyślał się tylko, iż Jaśko znowu siedzi tuż nad granicą i jak dawniej wysuwa jedno ucho naprzód, aby lepiej słyszeć, co się w ziemi Zakonu dzieje. Sądził go w Krakowie przy dworze króla.

Cała zajądlność krzyżacka na nie się nie zdała w obec czujności pana Sołuchy i obu Bitnych. Nie dali podejść żadnemu Krzyżakowi nawet do brzegu granicznej rzeki, a z podejrzanymi włóczęgami tak się obchodzili, iż rychło nikt nie ważył się iść na przespiegę na brzeg żmudzki.

Lecz nietylko Sołucha ze swymi towarzyszymi czuwał. Książę Radziwiłł, widząc, iż Krzyżakom ufać nie można, że nie szanują ni traktatów, ni spokojnego ludu, coraz mocniejsze straże rozstawiał na granicy; zaś dowiedziawszy się jako Wielki Mistrz wciąż nakłania Mistrza inflanckiego do napadu na Żmudź i Litwę, taką siłę wojenną położył na pasie dzielącym Prusy od Inflant, że żywa dusza nie mogła się prze dostać.

Odgrażał się Wielki Mistrz, obiecywał zniszczyć bogate dobra Radziwiłła, Żmudź całą i Polskę, ale książę tylko się śmiał w głos, mówiąc: a no, niech spróbuje! Szły od Wielkiego Mistrza skargi do króla. Zygmunt obiecywał rzecz rozpatrzyć, ale naprawdę cieszył się, że dzielny starosta żmudzki tak pilnie granicy strzeże.

Widział król, że nie uda się długo utrzymać pokoju. Bolał nad tem, bo żał mu było przelewać krew ludzką, żał, że stawać musiał ostro przeciwko własnemu siostrzeńcowi, ale czuł, że rychlej, czy później, do krwawego starcia przyjść musi.

Zakon sił nie miał.

Wszelkie starania Albrechta, by cesarz niemiecki stanął po jego stronie, nie odnosiły skutku. Cesarz przyrzekał ująć się za Zakonem, ale wojnę odradzał. Toż samo książęta niemieccy.

O grosz było trudno,—a bez pieniędzy ni żołnierza nając, ni broni i amunicji kupić nie można było.

Wił się Albrecht na wszystkie strony, dobywał pieniędzy skąd było możliwe, zbroił się i ludzi najmował. Chociaż z Niemiec nikt z pomocą nie spieszył, nikt jej nie obiecywał, wierzyć nie chciał, by go opuszczono. Wciąż myślał, że sprawa Zakonu to sprawa Niemiec całych, że tylko dla pozoru nikt nie chce jawnie wystąpić przeciwko królowi polskiemu, lecz że w chwili ostatecznej wszyscy z pomocą pospieszą.

Król Zygmunt czynił, co mógł, aby do wojny nie dopuścić. Udał się do Papieża, jako zwierzchnika całego świata chrześcijańskiego, z prośbą, by na Zakon wpłynął, Wielkiego Mistrza do złożenia hołdu skłonił, do rozlewu krwi chrześcijańskiej nie dopuścił. Papież nakazał pokój, tembardziej, iż pragnął, aby wszystkie mocarstwa chrześcijańskie skupiły siły do walki z Turkami, którzy coraz groźniejszymi stawali się dla całej Europy. Chciał Papież, by chociaż na lat pięć zaniechano w Europie wszelkich waśni i wojen, a w zgodzie ruszono na wyznawców Mahometa.

Albrecht nawet Papieża nie usłuchał i dalej zbroił się przeciwko Polsce.

Zakon i mistrz jego zdawało się zupełnie zapomnieli, iż pierwszym ich obowiązkiem było bronić chrześcijan, a walczyć z niewiernymi. Chęć zemsty i żądza

panowania tak nimi owładnęły, iż nawet Papieżowi odmówili posłuszeństwa.

Tymczasem król polski, widząc jak groźnymi dla całej chrześcijańskiej Europy stają się Turcy, jeszcze jednego sposobu spróbował. Oto, przypominając, iż Zakon został otworzony dla krzewienia chrześcijaństwa i walki z niewiernymi, chciał Krzyżakom ustąpić Podole, bo tam jedynie mogli się oddać w zupełności swemu powołaniu, tam mogli nieocenione korzyści oddać światu całemu, walcząc z poganami, chroniąc chrześcijańskie kresy od ciągłych napadów, nawracając na świętą wiarę Chrystusową dzikich Turków i Tatarów.

Ale tu dopiero okazało się jasno, jak dalekim był Albrecht i jego doradcy od chęci spełnienia swego świętego posłannictwa. Wręcz odmówili przesiedleniu się na zagrożone Podole i natarczywie dopominali się o ziemię, które po traktacie toruńskim powróciły do prawej właścicielki, Polski. Ba! jeszcze więcej zapragnęli, bo Żmudzi żądali, obiecując za to wspierać Polskę.

Nie było jedności w Europie, nie było jej przedewszystkiem w Niemczech, gdzie każdy z książąt o sobie tylko myślał. Gdyby wówczas wszyscy zgodnie zniewolili Krzyżaków do złożenia hołdu Polsce, kto wie, czyby wielka wyprawa przeciwko Turkom, o której marzył Papież, nie była przyszła do skutku. A gdyby wtedy zmiażdżono tę straszną potęgę, ileż to krwi i łez ludzkich byłoby oszczędzonych! Jakąż chwałą, jaką zasługą mógł się być okryć Zakon, przyjmując posłannictwo walki z półksiężycem na Podolu i dzikich polach!

Odczuwał to król Zygmunt i długo, cierpliwie starał się o pokój z Krzyżakami. Wreszcie przekonał się, że nikt ich nie skłoni do pokory, gdy nawet głosu Papieża nie słuchają. Widział ich szaleństwo, gdy z małymi siłami, bez zapasów pieniędzy i żywności porywają się do wojny, i postanowił dłużej nie zwlekać z ostatecznym krokiem.

Zwołał sejm do Piotrkowa w lutym 1519 roku, i sejm uchwalił wojnę.

Napad Tatarów na Polskę i inne ciężkie kłopoty nie pozwoliły zaraz wyruszyć przeciwko Krzyżakom. Rok niemal upłynął od sejmu, a tymczasem Zakon nic nie czynił, coby mogło króla przejednać. Przeciwnie, napady na granicę polską, rabunki, mordy i pożogi stawały się częstszymi.

W grudniu nareszcie przybył król do Torunia i ztąd wezwał Wielkiego Mistrza, by mu hołd złożył.

Albrecht hołdu odmówił.

Wówczas to wodzowie wojska polskiego wypowiedzieli Mistrzowi wojnę, bo królowi tego uczynić nie wypadało, ponieważ Albrecht nie był samodzielnym panującym, lecz jego hołdownikiem, nieposłusznym, buntującym się.

Tyle już Polska od przeniewierczego Zakonu wycierpiała, iż w tej ciężkiej chwili, gdy szło o skruszenie ostateczne jego potęgi, o zabezpieczenie na długie lata spokoju wciąż dotąd nękanemu narodowi, nie zawahała się przyjąć pomocy Tatarów, którzy ohotnie szli na wyprawę przeciwko każdemu, byle mogli wojować. Więc i teraz poszli w przednią straż i jak w kraju wrogim ogniem i mieczem niszczyli wszystko, co im stanęło w drodze, a postrach szedł przed nimi

taki, iż wojska polskie, idące za Tatarami, z początku bawiąc się brały miasta i obronne zamki. Lud im się poddawał, bo w polskiej załodze znajdował obro-
nę przeciwko drapieżnym poganom.

Nie bardzo zresztą wzbogacili się Tatarzy, gdyż w przededniu wojny sam Wielki Mistrz nawet z ko-
ściołów pozabierał wszystkie srebro, aby je przerobić
na monetę dla zapłacenia żołdu najemnym wojskom,
które groziły opuszczeniem służby.

Ocknęli się dowódcy krzyżaccy i goręcej wzięli
się do obrony kraju. Walczyli dzielnie, dobywali sił
ostatka i niejedną klęskę zadali polskim wojskom.
Lecz siły Krzyżaków słabły, nowych nie było za co
najać, a te, które jeszcze walczyły, upominały się
o podwyższenie żołdu, lub chociaż o wypłatę zale-
głego.

Król siedział w Toruniu, a wojskiem całem do-
wodził Mikołaj Firlej. Wódz dzielny i wytrwały, nie
stracił ducha, chociaż tu i ówdzie nie powiodło się
Polakom. Skupiał siły, wspierał, gdzie były zbyt sła-
be, kierował, dodawał ducha. I oto, pomimo kilku po-
rażeń, wojska polskie posuwały się wciąż naprzód.
Im głębiej w kraj, tem większy był opór Krzyżaków,
tem większych trzeba było wysiłków dla zdobycia po-
drodze leżących twierdz.

Przecierpieli nasi niemało wśród ciągłych utar-
czek i szturmów, tembardziej, iż zima była sroga —
ale parli się naprzód i zdobywali miasto za miastem.

Do najdzielniejszych należeli Sołuchowie i Bitni.

Panowie Łopot i Kuniglis zostali dla pilnowania
rubieży w Wiknianach, ale stary Sołucha ani słyszeć
o czemś podobnem nie chciał, i mając przy boku wnu-
ka, starego Bitnego i Jaśka, walczył bez wytchnienia,

jak młody. I zdawało się, że ta wojna długa, pomimo zimna i niewygód, niebezpieczeństw i trudów, sił mu dodaje, odmładza go.

Jurek walczył spokojnie, jak stary, wytrawny rycerz; zapalczywy Jaśko rzucał się prawie na oślep. Doskonała z nich była para. Jurek łamał nieprzyjaciela siłą, Jaśko niszczył go rzutkością, sprytem.

Dotarli już do Heiligenbeil.

Obleżenie trwało długo, bo Polacy nie bardzo się spieszyli, spodziewając się poddania miasta.

Zresztą roboty tu nie brakło, bo z Heiligenbeil do Królewca już było niedaleko, więc wojska nasze częste urządzały wycieczki, torując sobie drogę do siedziby Mistrza.

Wtedy to nieocenionym okazał się Jaśko Bitny, znający doskonale okolice Królewca, przedmieścia jego i samo miasto. Z każdą wycieczką szedł tuż obok dowódcy, prowadząc najlepszą drogą, ukazując słabe strony twierdzy, radząc, jak w danym razie postąpić. I nie tylko rady jego były dobre, ale i ręka wprawna niemałe oddawała usługi w częstych utarczkach z Niemcami. Bił się z zapalem, któremu wodzowie nadziwić się nie mogli, i niejednen z rycerzy brał go sobie za przykład, niejednen ze wstydu szedł naprzód, aby się nie dać wyprzedzić Jaśkowi, który dopiero od roku był wojakiem. Nieraz musiano go powstrzymywać w zapalczywości, gdy się zapędzał w hufy nieprzyjaciół tak liczne, iż jego towarzysze nie mieli odwagi mierzyć się z niemi, nie mając sił dostatecznych. — Jaśko parł się naprzód, rąbał na wsze strony, a najbliżsi słyszeli, jak coś do siebie mówił. Jakieś słowa niezrozumiałe dla nich, jak na przykład: „to za matu-się, to za brata“....

Wojna trwała już blisko pół roku, pełna niewygód i trudów. I Boże Narodzenie, i Wielkanoc spędzili nasi w obozie wśród walk i ciągłych utarczek. Nareszcie nadeszło trzecie wielkie święto—Zielone Świątki. Radosne one były dla wojska naszego.

W drugi dzień Świątek stanęły nasze hufce pod murami Królewca, pełne ufności w zwycięstwo, dzielne, ożywione najmeźniejszym duchem—naprzeciw starych, silnych murów, bronionych przez nielicznych Krzyżaków i niezadowolonych najemnych żołdaków.

Przypuszczono szturm z jednej strony, a na czele nacierających pędził Jaśko Bitny, jakby pragnął pierwszy wedrzeć się do stolicy Zakonu.

Poznano słabe siły Krzyżaków, lecz nie naciskano pierwszego dnia zbyt. Firlej wysłał odezwę do mieszkańców Królewca, by się poddali, nie chcąc przelewać krwi niewinnej. Spodziewał się, iż, widząc słabe siły Zakonu, mieszkańcy będą nalegali na poddanie się, lub zresztą sami bramy miasta otworzą. Dano im czas do namysłu.

Wielu z naszych rwało się do bitwy, najbardziej Jaśko i Jurek—ale musieli słuchać wodza i czekać cierpliwie.

W zamku krzyżackim panowało zamieszanie. Widziano znaczne siły Polaków, wiedziano, że w naszym obozie duch panuje najlepszy, a wśród najemnych knechtów krzyżackich niechęć do dalszej wojny i niezadowolenie. Tu i ówdzie głośno szemrano i dopominano się zaległego żołdu.

Wielki Mistrz zwołał radę.

Brakło wśród zgromadzonych wielu dzielnych wodzów, którzy bądź polegli, bądź w polskiej znajdowali się niewoli.

Zaufany doradca Albrechta, Fryderyk von Heideke, który niegdyś sam namawiał Mistrza do rozpoczęcia wojny, dziś niemal wrogiem jego się stał, gdy ten gorzkie czynił mu wyrzuty, iż niedość dzielnie bronił Brunsberga. Zniechęcony do dalszej walki, nieprzychylny Wielkiemu Mistrzowi, Heideke pierwszy wystąpił z radą, by Albrecht poddał się królowi, lub przynajmniej wyjednał chwilowy pokój, dla skupienia nowych sił, z któremiby łącniej można było liczyć na zwycięstwo. Radę tę poparli inni.

Wywieszono białą chorągiew...

Poszedł list Wielkiego Mistrza do króla — król zgodził się na zawieszenie broni, byle Albrecht osobiście przybył do Torunia dla dalszych układów.

Wyznaczono wojska, które miały towarzyszyć Wielkiemu Mistrzowi w drodze do króla.

Jaśko posmutniał, gdy go zawiodła nadzieja zdobycia zamku krzyżackiego. Tak mu się chciało wejść zwycięzcą do tych komnat, w których był sługą...

Rychło wszakże wypogodziło mu się nachmurzone czoło, gdy wprosił się do orszaku, który miał prowadzić Albrechta do Torunia.

5 czerwca 1520 roku przybył Wielki Mistrz do obozu polskiego, aby dalej wyruszyć z garścią Krzyżaków i licznem rycerstwem polkiem.

Był pochmurny i prawie nie patrzył na otaczających.

Firlej przyjął go z godnością, ale uprzejmie. Przedstawił mu wodzów orszaku polskiego, który miał go prowadzić do króla.

Przywitał się Albrecht obojętnie, mówiąc:

— Ruszajmy corychlej w drogę.

Zaufany doradca Albrechta, Fryderyk von Heideke, który niegdyś sam namawiał Mistrza do rozpoczęcia wojny, dziś niemal wrogiem jego się stał, gdy ten gorzkie czynił mu wyrzuty, iż niedość dzielnie bronił Brunsberga. Zniechęcony do dalszej walki, nieprzychylny Wielkiemu Mistrzowi, Heideke pierwszy wystąpił z radą, by Albrecht poddał się królowi, lub przynajmniej wyjednał chwilowy pokój, dla skupienia nowych sił, z któremiby łatwiej można było liczyć na zwycięstwo. Radę tę poparli inni.

Wywieszono białą chorągiew...

Poszedł list Wielkiego Mistrza do króla — król zgodził się na zawieszenie broni, byle Albrecht osobiście przybył do Torunia dla dalszych układów.

Wyznaczono wojska, które miały towarzyszyć Wielkiemu Mistrzowi w drodze do króla.

Jaśko posmutniał, gdy go zawiodła nadzieja zdobycia zamku krzyżackiego. Tak mu się chciało wejść zwycięzcą do tych komnat, w których był sługą...

Rychło wszakże wypogodziło mu się nachmurzone czoło, gdy wprosił się do orszaku, który miał prowadzić Albrechta do Torunia.

5 czerwca 1520 roku przybył Wielki Mistrz do obozu polskiego, aby dalej wyruszyć z garścią Krzyżaków i licznem rycerstwem polkiem.

Był pochmurny i prawie nie patrzył na otaczających.

Firlej przyjął go z godnością, ale uprzejmie. Przedstawił mu wodzów orszaku polskiego, który miał go prowadzić do króla.

Przywitał się Albrecht obojętnie, mówiąc:

— Ruszajmy corychlej w drogę.

Nagle oczy rozwarł szeroko, potem brwi ściągnął gniewnie i zawołał:

— Precz, pachółku podły!

Na te słowa wysunął się Jaśko Bitny naprzód.

— Pachółkiem twoim, mości Mistrzu, nie jestem — rzekł spokojnie, lecz głośno — a podłym nie byłem nigdy. Podli byli ci, którzy matkę mą zamordowali, a mnie lata długie trzymali w niewoli. Dziś jam szlachcic, rycerz polski, tak dobry jak niemiecki książę!

— Chwat! — krzyknięto chórem po stronie polskiej.

Jaśko cofnął się i po chwili słyszeć było donośny głos:

— Na koń i naprzód!

Ruszył z oddziałem, poprzedzającym Wielkiego Mistrza.

Jakże szczęśliwym czuł się, jak dumnym! On, niedawno jeszcze biedny, poniewierany niewolnik krzyżacki, jedzie dziś przodem, a za nim ten hardy Albrecht, który dotąd się wzbraniał złożyć hołd prawowitemu panu.

VIII.

Uroczyście przyjął król Zygmunt Albrechta, ale chłodno. Niktby się nie domyślił, iż to wuj i siostrzeniec się spotykają.

Albrecht był zamyślony, widocznie znękany, zdawało się prawie, że pokorny. Pomimo tego mało kto ufał mu i obawiano się, by król dobry nie dał się ująć udanej skrusze, tembardziej, że to przecież siostrzeniec był królewski.

Po wspaniałym obiedzie dał Zygmunt posłuchanie Albrechtowi. Ledwo paru najbliższych doradców króla uczestniczyło w tem przyjęciu.

Długie zapanowało milczenie, gdy się wszyscy zebrali. Nikt nie wiedział, kto ma zacząć i od czego.

Zygmunt czekał, by Albrecht pierwszy przemówił. Zrozumiał to Wielki Mistrz i zaczął nareszcie:

— Miłościwy królu i wuju, znękany wojną, która z woli twej spadła na Zakon, przychodzę prosić o pokój....

— Przed królem stoisz, ale wuja twego nie masz tu — odezwał się spokojnie Zygmunt. — Bliską sercu memu była zawsze rodzina, cóż winienem, iż nie wszyscy pamiętali o związkach krwi. Tyś się ich zaparł. Zamiast w troskach i kłopotach szukać rady u wuja, tyś się zbuntował przeciwko niemu. Siostrzeniec znieważył brata matki, poddany swego króla, zwierzchnika! Możesz sądzić — mówił Zygmunt dalej, zapalając się — iż wuj dobrotliwy zapomni, iż jest królem polskim, któremu Wielki Mistrz krzyżacki hołd złożyć był winien? Omyliłeś się, bom ja, przyjmując godność królewską, przyjął i obowiązki z nią złączone i pierwiej zginę, niżli ich się zaprę, niżli zaniedbam, com winien tej koronie polskiej. Boli mię, iż siostrzeniec mój zapomniał o mnie, lecz boli więcej, iż on zapomniał o tem, czem być powinien jako Mistrz Zakonu, jako lennik Polski. Nie wojować, lecz kornie hołd złożyć masz twemu królowi; a jeśli siły masz

i rycerzy dzielnych, toś niemi wspierać powinien króla twego i Polskę, która ci dała twą godność. Tu w tym zamku poprzednik twój przyjął od króla polskiego ziemie zakonne, tu hołd złożył prawowitemu panu swemu. A ty cóżeś uczynił?!

— Wybacz, królu....—przerwał Albrecht.

— Wybaczyć? Spójrzj dokoła siebie, policz dzieła twoje, osądź je sam! Tysiące ludzi poległych na polach bitew, więcej jeszcze pomordowanych ofiar bezbronnych, sioła spalone, grody i zamki zburzone, lud w nędzy bez przytułku i chleba — oto dzieła twoje!

— Wyznaję, panie—odparł Albrecht,—lecz i Zakon ucierpiał niemało.

— Tak, z twojej i twych doradców winy. Należało słuchać sumienia tylko, spełnić obowiązek. Gdybyś był hołd złożył i wiernie stał przy Rzeczypospolitej, opiekunemby ci był i ojcem; kraj twój byłby zakwitł dobrobytem i lud błogosławiłby cię, jako dobroczyńcę. Dziś złorzeczy, boś go swym uporem zgubił, zniszczył. I długie lata ludzie, patrząc na zgłiszczą, przeklinać cię będą, może jeszcze pamięć twoją, gdy ciebie już nie stanie, bo mało żywota ludzkiego dla naprawy tego zła, które przez ciebie na kraj, tobie powierzony, spadło. Ja, Zygmunt, siostrzeńcowi przebaczyć mogę, ale ja, król, zbuntowanemu Mistrzowi—nie; chyba ujrzę zupełną skrucę, chyba, że od tej chwili zmienisz się zupełnie, że zaczniesz pracować dla dobra kraju, ludu biednego, by mógł co rychlej zapomnieć o klęsce, której przez ciebie doznał. Błagaj, by ci Bóg przebaczył; ja cię nie odtrącę, gdy uczynisz to, do czegoś obowiązany.... To moje słowo ostatnie.

— Złożę hołd...—odezwał się po chwili przyciszonym głosem Albrecht.

Król siedział zamyślony.

Wreszcie powstał z krzesła, podszedł do Wielkiego Mistrza i rzekł z powagą:

— Idź, módl się. Podziękuj Panu Najwyższemu za dobre natchnienie i błagaj, by cię w postanowieniu utwierdził.

Po chwili, nie mogąc opanować wzruszenia, ujął głowę Albrechta w obie dłonie i dodał urywanym głosem:

— Niech ci Bóg tak przebaczy, jak ja ci przebaczam! Idź i wracaj, jako ojciec twego narodu, a znajdziesz we mnie zawsze serce otwarte. Pomocnej ręki nigdy ci nie cofnę, i będziemy wspólnie pracowali nad zatarciem śladów tej nieszczęsnej wojny....

Zgoda zapanowała pozornie na zamku toruńskim, ale tylko pozornie.

Albrecht pokazywał się mało, rozpisywał listy, wysyłał i przyjmował posłańców. Nie naglono go o złożenie hołdu, wiedząc, iż rzecz tak ważna wymaga należytego przygotowania. W poufnych rozmowach układano warunki pokoju, lecz trzymano się ściśle słów królewskich — przedewszystkiem miał Albrecht złożyć hołd; resztę załatwionoby potem bez trudu.

Panowie polscy zbliżyli się do Wielkiego Mistrza, który ich ujmował gładkiem obejściem. Tylko Firlej jakoś nie dowierzał skrusze mistrza; a niewiarę tę jeszcze podsycił Jaśko wiadomościami, iż Albrecht coś knowa.

Gdy zwracano uwagę króla na zachowanie się Albrechta, dodając, iż niepotrzebnie zwleka z osta-

tecznem ułożeniem się o czas i miejsce złożenia hołdu, odpowiadał:

— Słyszeliście słowa moje. Nie cofnę ich, — reszta nie od nas zależy. Boleję nad krwi przelewem, ale, cokolwiekby się stanie, spełnię obowiązek, chociażby mi korona cierniową się stała. Dla głosu krwi nie zapomnę, com winien narodowi, który mi tę koronę oddał.

Spostrzegł król na zamku Jaśka Bitnego i poznał go odrazu. Przywołał do siebie, wypytywał, jak mu się powodzi, a także ojcu i Sołuchom; chwalił dzielność i kazał bywać na pokojach.

— Znasz kraj krzyżacki, znasz najlepiej Królewiec, rada twoja cenną być może.

— Wszystką krew przeleję z radością za Waszą Królewską Mość! — zawołał.

— Nie ganię twego zapału, lecz pamiętaj, że i rada rozumna wiele warta. Ty znasz ten kraj lepiej, niżli inni; a cóżby to było, gdybyś był padł zaraz w pierwszej bitwie? Nie żałuj nigdy krwi, gdy kraj jej na swoją obronę zapotrzebuje, lecz nie szafuj nią lekkomyślnie.

Rozwagał Jaśko słowa królewskie i postanowił usłuchać ich, gdy znowu do walki przyjdzie — a że przyjdzie — i to niebawem, tego był pewny. Znał on dobrze Krzyżaków i Albrechta, a ucho, wysuwane naprzód, zachwytywało takie słowa, iż lada chwila oczekiwał zdrady nowej.

Nadśluchiwał z uwagą, co pomiędzy sobą Krzyżacy mówili, patrzył badawczo na Wielkiego Mistrza i układał sobie wszystko widziane i zasłyszane w głowie.

Przypatrywał się obyczajom dworskim i uczył

wiele. Nieraz w rozmowie wybuchał jeszcze zdaniem zbyt gorącym, słowem nadto ostrem, osobliwie gdy szło o Krzyżaków, których tak nienawidził, iż mówiąc o nich, nie mógł się pohamować. Gdy był w obecności króla, milczał, lękając się wyrwać z czemś niemądrem, lub niewłaściwym. Pokochał tego zacnego pana i dobrodzieja swego całym sercem i rano i wieczór modlił się o jego pomyślność. Dlatego też coraz pilniej uważał na to, co się dzieje wśród otoczenia Wielkiego Mistrza.

Pewnego dnia wpadł Jaśko na pokoje królewskie i koniecznie żądał, aby go dopuszczono zaraz do króla. Zrazu śmiano się z niego, lecz gdy się zbyt natarczywie dopominał, ochmistrz dworu skarcił go surowo za taką śmiałość.

— Dla panów rady przystęp do króla jest otwarty, lecz nie dla takich, jak ty!

— A dla tych, którzy króla kochają, którzy życie chcieliby za niego oddać?—zawołał Jaśko gorąco.

— I dla tych i dla wszystkich—odezwał się głos poważny.

Wszyscy spojrzeli przerażeni. We drzwiach stał Zygmunt, który wszystko słyszał.

— Mów śmiało, młodzieńcze, czego ci potrzeba.

— Najjaśniejszy Panie, to tajemnica—rzekł Jaśko nieśmiało.

— Chodź za mną.

Gdy się drzwi za królem i Jaśkiem zamknęły, rzekł ten ostatni głosem stłumionym:

— Najjaśniejszy Panie, Wielki Mistrz knuje zdradę!

— Czy tylko nie zdaje ci się tak z nienawiści do niego?—zapytał król dobrotliwie.

— Nie, wiem napewno. Oto dziś nadeszły do Mistrza listy, iż czternaście tysięcy zacieężnych wojsk spieszy mu na pomoc z Niemiec, a dwa i pół tysiąca z Danji.

— Pewny-żeś tej wiadomości?

— Najpewniejszy!

— Milcz-że o tem.

Albrecht układów o pokój nie kończył, składając się koniecznością porozumienia z komturami. Na dworze królewskim zaczęto podejrzywać go, lecz milczano.

Nareszcie oświadczył Mistrz wyraźnie, iż musi przed ukończeniem układów być w Królewcu. Pomimo zawieszenia broni, lękał się jechać z swym małym orszakiem. Prosił króla o list żelazny, zabezpieczający jego osobę i orszak w drodze do Królewca, zajętej przez wojska polskie.

Król wiedział, co to wszystko znaczy. Objął panów rady, którzy też z różnych stron mieli wieści o nadciągających posiłkach.

— Zatrzymać przeniewiercę—zawołano.

— Nie, niech jedzie! — rzekł król spokojnie — Bóg świadkiem, iż pragnąłem położyć koniec przelewowi krwi--nie jam winien, jeśli trzeba będzie rozpocząć bój nanowo. Mam już od kilku dni wiadomość o nadciągających posiłkach, wy wiecie dziś o tem także napewno, lecz, ponieważ Albrecht o tem milczy, i nam nie wypada wspominać tej nowej zdrady. Niech wola Boska rozstrzyga.

Pogrążył się w zamyśleniu zacny król, a po chwili rzekł:

— Wygotować list żelazny i wręczyć go Albrechtowi, gdy się zjawi. Zapewne zechce pożegnać się

ze mną.... ja go nie przyjmę więcej! Skoro chce, niech jedzie! Boski sąd rozstrzygnie!

Gdy panowie zabierali się do wyjścia, król zawołał:

— List żelazny niech wręczy Albrechtowi Jaśko Bitny..... Obaj zasłużyli na to...

Na drugi dzień zjawił się na pokojach królewskich Wielki Mistrz z orszakem swoim i prosił o przyjęcie. Kazano mu długo czekać. Panowie polscy trzymali się na uboczu, nie rozmawiając z Krzyżakami, którzy zresztą nie dbali dziś już o przyjęcie Polaków.

Wielki Mistrz zaczął się niecierpliwić.

Nareszcie otwarły się podwoje pokoju królewskiego. Albrecht, pewny że król wchodzi, postąpił kilka kroków naprzód i stanął naprzeciw — Jaśka Bitnego...

Jaśko, we wspaniałej zbroi, wyglądał dziarsko. Wyprostowany, zdawał się być dość słusznego wzrostu, a twarz, choć nie ładna, miała jakiś blask powagi.

Postąpił ku Wielkiemu Mistrzowi i rzekł:

— Najjaśniejszy Pan nie przyjmuje....

Albrecht wstrząsł się cały. Zbladł, a w oczach zapalił mu się gniew.

— Oto jest glejt królewski — ciągnął Jaśko dalej, podając Albrechtowi zwój pergaminu — zabezpieczający Waszej Wielmożności i jego orszakowi powrót do Królewca.

Wahał się chwilę Albrecht. Czuł ogromne upokorzenie, iż z rąk Jaśka musiał przyjąć glejt królewski. Nareszcie wyciągnął rękę.

Jaśko patrzył śmiało w oczy Albrechtowi. Wiel-

ki Mistrz wzroku tego wytrzymać nie mógł—odwrócił się i szybko wyszedł z sali.

IX.

Rozpoczęła się wojna nanowo.

Albrecht, ufny w znaczne posiłki, jakie otrzymał, rzucał się na wszystkie strony, napadając załogi polskie, usiłując odbić stracone miasta i zamki. Krew lała się obficie, a wojnie końca nie było. Niesforni najemnicy burzyli i rabowali, co się dało; ale choć w boju byli srodzy, brakło im wytrwałości. A że była to zbieranina z całego świata, krnąbrna i zuchwała, więc też posłuszeństwa brakło w wojsku krzyżackiem i wszystkie zamiary wodzów rozбивały się o butę i brak karności żołdaków. To też zdobycze Albrechtowej armji stosunkowo małe były.

I znowu zima przeszła na nieustannych walkach, i siły obu stron wojujących coraz więcej wyczerpywały się.

Tymczasem cesarz niemiecki i król węgierski dokładali wszelkich starań, by walczących pogodzić.

Król Zygmunt zawsze tę samą dawał odpowiedź: mistrz musi hołd złożyć, a reszta załatwi się bez trudu. Wielce bolał ten zacny pan nad niedolą obydwu narodów, które tyle sił traciły na tę nieszczęsną wojnę, ale z drogi obowiązku niczem nie dał się odwieść.

Wielki Mistrz, wyczerpawszy wszystkie zasoby, zrozumiał, że dalsza wojna do zupełnej zguby Zakonu

doprowadzićby musiała. Dał więc posłom swoim moc układania się tak, aby koniecznie do zawarcia pokoju, chociaż tymczasowego, doprowadzić.

Nareszcie dnia 5 kwietnia 1521 roku został zawarty między Polską a Zakonem rozejm na lat cztery.

Część wojsk polskich rozeszła się do domów, część ruszyła z królem do Krakowa.

Jaśka, który w jednej z ostatnich bitew ciężką otrzymał ranę, zabrał król ze sobą. Ojciec, widząc syna pod tak dobrą opieką, powrócił do Wikanian, pewny będąc, iż pomimo rozejmu przyda się tam, chociażby tylko łotrujących knechtów odpędzał od spokojnej Żmudzi.

Sołuchowie wrócili do domu. Stary markotny, a Jurko wesół.

Nieraz, gdy wieczorem zasiedli, pytał Jurko:

— Czego to dziaduś taki pochmurny?

— Jakżeż się cieszyć—mówił—gdy naród nasz cierpi, i cierpieć jeszcze będzie długie lata! Dwa wieki wojujemy z Krzyżakami, ja sam gnębię ich już lat bez mała sześćdziesiąt, i co z tego? Tyś młody, tobie wojna igraszką; Bóg ci dał siłę ogromną i rad jesteś, że możesz użyć tej siły i to użyć na obronę od wrogów. Lecz czy myślisz, iż dla mnie wojna igraszką jest także? Jam tyle przeżył, przecierpiał, jam żył niemal pragnieniem wojny z Krzyżakami, a dziś.... Nie masz dla mnie ukojenia. Nie wojny ja pragnąłem całe me życie, ale pokonania Zakonu, bo w tem byłoby zbawienie naszego narodu. Tyle krwi sam przelałem, tylem się napatrzył, jak ją rozlewali inni, własnej nie żałowałem, bom żył nadzieją, iż przyjdzie dzień zupełnego pogromu Zakonu. A dziś? Znowu rozejm, znowu Zakon będzie miał czas wylizać rany, zebrać siły,

a wtedy nanowo zacznie się niedola nasza. A kiedyż będzie jej koniec?

Pograżył się starzec w zadumie,—po chwili rzekł:

— Wojowała Polska z Rusią, z Litwą pogańską, aż się dowojowała zgody, miłości, braterstwa.... ale z Niemcami nie dowojujemy się niczego dobrego! Weź stare księgi, patrz, gdzie się podzieli Słowianie, bracia nasi nad Odrą i Łabą? Niema ich, ślad po nich ledwo pozostał w księgach przez świętobliwych mnichów spisywany — a naród? Wygubiony przez Niemców! Niemiec we krwi ma nienawiść do Słowian, a nienawiści tej służy siła duża i chytrość i rozum djabelski.

Używaj, chłopcze, czasu pokoju, bo walka nie skończona. Przyjdzie znowu dzień, w którym trzeba będzie na koń, znowu bić się z tym wrażym Zakonem, co na hańbę świata chrześcijańskiego nosi znak krzyża świętego na szatach—ale w sercu go nie ma!

I znowu pan Witołd z Łopotem, Kuniglisem i starym Bitnym zasiedli na czatach na granicy świętej Żmudzi.

A Jurko pojechał dalej w głąb kraju, na Żmudź i Litwę, to do krewnych, to do towarzyszy z ostatniej wojny. Czy dobrze zrozumiał słowa dziadka, że nie w walce cel, lecz walka do celu jakiegoś prowadzić powinna?..

Rozgrzała Jurka wojna, ożywił się i jednał sobie serca wszystkich, do których się zbliżył. Ludzie go kochali, on też do nich lgnął, ale do dziadowskiej zagrody zateęsknił. Powrócił rychło, a że chłop już był dorosły, i pora było pomyśleć o usłaniu własnego gniazda, więc też niebawem wyprawił mu dziadek wesele.

Ochoczo bawili się sąsiedzi, a dziadek na uczcie weselnej rzekł:

— Obyście dożyli ostatecznego pogromu Zakonu, bo tylko wtedy, gdy zgnieciemy Niemców, odżyjemy i zaznamy spokoju.

Nie mógł być na godach przyjaciela Jaśko Bitny, bo go wieść o nich zapóźno doszła.

Przechorowawszy ciężko po otrzymanej ranie, z woli króla pozostał na zamku. Zygmunt polubił go bardzo i cenił jego spryt i przywiązanie. Karcił go nieraz za jego do Niemców nienawiść, ale, choć Jaśko wstydził się, nie mógł z serca wyrugować tego uczucia. Nawet krakowskich 'mieszczan Niemców nie lubił i ile razy który z młodzieży wojskowej wypłatał im figla, a oni zanosili skargi do króla, Jaśko, jak mógł, bronił winnego.

W ciągłym obcowaniu z dworzanami królewskimi i rycerstwem, okrzesał się Jaśko rychło, nauczył wiele i zaskarbił sobie serca wszystkich. Prawdomówny, szczery i serdeczny, dobry dla drugich, a nie samolub, usłużny i pokorny w obec starszych a dobrze krajowi zasłużonych, nie miał ni wrogów, ni zawistnych. Nikt mu nie zazdrościł łaski królewskiej, bo każdy widział, iż swem bezgranicznem przywiązaniem zasłużył na nią. Czy to na łowach, czy w podróży, Jaśko był zawsze wpobliżu króla i niechno się zwierzył zbył zajadle rzucił, lub kareta na grzązkiej drodze pochylił, już Bitny swem silnem ramieniem spieszył z pomocą. A siłacz był taki, iż mu nikt zrównać nie mógł. Raz gdy mu się oszczep złamał, a niedźwiedź nań się rzucił, gołemi rękami zadławił ogromną bestję.

Żał mu nieraz było, że go król nie puszcza gdzie na wojnę, ot tak naprzykład na wschodnie kre-

sy, harcować z Tatarami; ale tak był przywiązany do króla, iż chętnie czynił, co ten mu kazał, i byłby do końca życia został przy dworze, gdyby pan tego żądał. Tylko co do Krzyżaków myślał sobie, że chyba król da się ubłagać i gdyby przyszło do nowej z nimi wojny, pozwoliłby mu poharcować i odplacić za braciszka małego i matusię, i za kraj nękany.

Dola uśmiechała się Jaśkowi, bo król, szczodry dla wszystkich, nie był skąpym i dla niego. Sporo miał szat, i zbroi, i grosza, i klejnocik niejeden się znalazł, a król mu już zapowiedział, iż ziemią go obdarzy.

Nie śmiał Jaśko być panu natrętnym, lecz marzył, by osiąść kiedyś na Żmudzi, niedaleko Wiknian, bo, choć mu dobrze było na zamku królewskim, o swych przyjaciółach nie zapominał i tęsknił do nich.

A król, choć niemało trosk spoczywało na jego głowie, odgadł pragnienie Jaśka i czekał tylko okazji. Jak na to przybył starosta żmudzki, książę Radziwiłł, do Krakowa i wielce się ucieszył, poznawszy Jaśka. Król mu też o dzielnym młodzieńcu wspominał.

Upłynęło pół roku od bytności Radziwiłła, gdy pewnego dnia król wezwał Jaśka do siebie.

— Pilne mam listy do księcia Radziwiłła, a że i tobie pora zobaczyć rodzica, więc gotuj się do drogi. Najpierw pojedziesz do Birż, gdyby zaś tam starosta żmudzkiego nie było, to do Taurogów, a potem możesz na kilka miesięcy do Wiknian. Gdy się nacieszysz dość ojcem i przyjaciółmi, wspomnij mnie i wracaj.

Jaśko do nóg upadł dobremu królowi i w kilka dni później puścił się w podróż.

Dano mu, oprócz woźniców, paru tęgich pachołków dla bezpieczeństwa, bo niemało dobra wiózł na dwóch ładownych wozach i, oprócz radziwiłłowskiego wierzchowca, który mu zawsze był najmilszy, miał dwa dzielne konie wierzchowe ze stadnin królewskich.

Silny, tęgi — już dawno zapomniał o ranie, zadanej przez Krzyżaka — bogaty z łaski króla, spieszył do Birż wesoło, bo wiedział, że rychło uściska kolana ojca kochanego i powita zacnych Sołuchów, o których nigdy nie zapominał.

Radziwiłła w Birżach nie zastał, więc pospieszył do Taurogów.

Książę list królewski przyjął, ale jakoś nie kwapił się z czytaniem. Z dobrotliwym uśmiechem przypatrywał się Jaśkowi, aż wkońcu rzekł:

— Mówiłem ci, iż zostaniesz rycerzem, alem się nawet nie spodziewał, iż tak rycersko będziesz wyglądał. Jedziesz buńczuczno z pachołkami, a bryki, widzę, ładowne nielicho, jakbyś zamierzał wieś kupować!

Jaśko zmięszał się trochę, ale odrzekł:

— Gdyby się gdzie kawał ziemi znalazł, to mógłbym się i pokusił. Z łaski królewskiej nielada jaki grosz spadł na mnie, a nie strwoniłem nic...

— Ba, kiedy tu ziemia dokoła moja, a ja, jak wiesz, ziemi bronie, ale nie handluje nią! — zawołał książę niby butnie.

— Wiem ci ja o tem, i to bieda moja, bo naprawdę, gdybym miał się osiedlić, tobym to już najchętniej tu czynił, gdzie się zaczęło całe szczęście moje. I ojca trudnoby oderwać od pana Sołuchy, i mnieby blisko Jurka rażniej było. Gdyby tak wasza

książęca mość choć dzierżawą puścił mi jaki kęs ziemi...—dodał nieśmiało.

— A cóżby to z ciebie był za dzierżawca, kiedy gospodarować nie umiesz! Ziemię krwią polać, to ty potrafisz—mówił książę śmiejąc się.

— Uczyłbym się....

— Pókiby się okazja nie zdarzyła Krzyżaków tłuc!

— A! — zawołał Jaśko — wtedy tobym na pewno odbiegał ziemi i plonu.

— Powoli, powoli—śmiał się Radziwiłł—i Krzyżacy nam się jeszcze dostaną, i ziemia może kiedyś się znajdzie. Ale żeś ty, będąc tak blisko króla, nie wyprosił sobie jakiej darowizny, to dziwno. Zrobił cię król szlachcicem, niechby i ziemię dał, bo u nas szlachcic to ziemianin.

— Miłościwy książę!—zawołał Jaśko, czerwieniąc się — obdarzył mię król sowicie, ale Bóg świadkiem, że nigdy o nic nie prosił. Dziś, gdybym wiedział, że jedną chwilę szczęścia i spokoju mógłbym zacnemu naszemu królowi przysporzyć, oddałbym cały mój dobytek, krewbym do ostatniej kropli dał wysączyć, choć do niewoli krzyżackiejbym poszedł, ale prosić o nagrodę i majątek—nigdy!

Przy tych słowach zdawał się Jaśko rość, twarz mu zapalała takim szlachetnym blaskiem, iż Radziwiłł z przyjemnością długo na niego patrzył. Nareszcie chwycił go w ramiona i serdecznie ucałował.

— Rozgość się u mnie. Dzień, dwa pobędziesz, a potem puszczę cię do ojca.

Na trzeci dzień wyruszył Radziwiłł z Jaśkiem, mówiąc, iż ma w tych stronach coś obejrzeć.

— Osadę zbudowałem i na pamiątkę Ragnity

Ragnitką nazwałem. Trzeba mi zobaczyć, czy wszystko już w porządku.

Serce biło Jaśkowi, gdy przejeżdżał drogą, tak mu dziś jeszcze pamiętną, drogą, którą ongi pędził do księcia Radziwiłła, by opowiedzieć o zamierzonym napadzie Krzyżaków na Żmudź.

Lasy odwieczne szumiały dokoła; gdzieniegdzie małe pólka obsiane kołysały się bujnem zbożem; tu sad się pokazał, tu pasieka, a wszystko takie piękne, takie miłe, takie pociągające!

Nareszcie, gdy byli już tuż koło Wiknian, ukazał się im dwór nowy, wysoki, okazały niemal, otoczony grubym częstokołem, z dziedzińcem ogromnym, z zabudowaniami gospodarskimi.

Wrota na ścieżaj otwarte, a w podwórzu konie osiodłane i sporo krzątających się ludzi.

Gdy podjechali do bramy, wybiegli na powitanie Sołuchowie, Bitny, Kuniglis, Łopot i jeszcze kilku innych sąsiadów, których Jaśko ledwo sobie przypomniał.

Zeskoczył młodzian z konia i najpierw ojcu do nóg się rzucił.

Długo trwało przywitanie, ojciec i syn łązy mieli w oczach, — łązy radości. Potem panu Witoldowi do nóg upadł i jak ojca witał, potem z Jurkiem padli sobie w ramiona, a wreszcie innych serdecznie witał Jaśko do łez rozczulony.

Radziwiłł na korne ukłony braterskim uściskiem odpowiadał i powiódł wszystkich do dworu. Z sieni dużej weszli do izby, pośrodku której stał stół zastawiony jadłem.

— Ot i dobrze — rzekł książę — właśnie pora posilić się.

Otoczyli stół, czekając, by książę zajął miejsce, ale on, zamiast na czele, siadł na najbliższem krześle na lewo. Spostrzeżono tę omyłkę, ale nikt nie śmiał zwrócić na to uwagi, boć książę był tu panem.

Stół pelen był mięsiwa, służba czekała skinienia i Radziwiłł zdawał się czekać.

Po chwili milczenia odezwał się książę, jakby z niezadowolaniem:

— Tatarski to musi być dom, bo do jadła nie zapraszają, a gospodarz zapomina, iż skoro nie stać ziemi żmudzkiej na wino, to godziłoby się starką i miodem do gości przepić!

Wszyscy spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc, co to znaczy.

W tej chwili Radziwiłł wstał; Jaśko, sądząc, iż może być w czem pomocny, podbiegł ku niemu. Książę schwycił go za ramiona i zawołał:

— Toś ty taki gospodarz! Na królewskim dworze uczyłeś się grzeczności?! A nam tu gardła wysychają i w brzuchu burkocze z głodu! Kiedyś taki, to ja zacznę!

Nim jeszcze kto mógł zrozumieć, już Radziwiłł trzymał kielich w ręku i zawołał:

— Zdrowie naszego młodego gospodarza, Jana Bitnego, ziemianina żmudzkiego, z woli i łaski królewskiej właściciela tej oto Ragnitki! Niech żyje i niech bije Krzyżaków, jak pod Ragnitą!

— Niech żyje!—krzyknęli wszyscy chórem, tylko staremu Bitnemu i Jaśkowi łyż głos tamowały.

Radziwiłł uściskał Jaśka i w oba policzki ucałował, potem poprowadził do naczelnego miejsca i rzekł:

— Siadajże na twem gospodarskiem miejscu.

Jaśko już oprzytomniał. Do kolan księciu się schylił i odpowiedział:

— Gospodarzem tu jest i zawsze pozostanie nasz najmiłościwszy król, a zastępcą jego jest i będzie starosta żmudzki.

— Znać dworaka! — zawołał, śmiejąc się, Radziwiłł i zasiadł na czele stołu, sadowiąc Jaśka obok siebie.

X.

Czas upływał szybko. Minał rok, drugi i trzeci, coraz bardziej zbliżał się koniec rozejmu, lecz ani cesarz niemiecki, ani król węgierski nie mogli nakłonić zwąśnionych do stałej zgody.

Król Zygmunt trwał przy raz powiedzianem słowie.

— Przysiągłem, że piędzi ziemi odziedziczonej nie dam od Polski urwać, więc dotrzymam. Albrecht niech hołd złoży, niech się stanie wiernym lennikiem Korony, a ja mu pewno krzyw nie będę,—przeciwnie, chętnie dopomogę w wielkich kłopotach, w które wpadł przez wojnę i nieopatrzność swą. Innej zgody nie może być.

Im dłużej Albrecht kołatał do bliższych i dalszych, do przyjaciół i krewnych, tembardziej przekonywał się, iż wszelka nadzieja przed nim się usuwa. Nałożył nowe podatki i cła, ale pierwsi mieszkańcy Królewca zbuntowali się i przysięgli, że ani grosza nie

dadzą. Prosił o pożyczanie pieniędzy książąt i komturów — nadaremnie. A tymczasem żyć trzeba było i czas zawieszenia broni płynął bezpowrotnie.

Wyjechał Wielki Mistrz do Niemiec, aby osobiście kołatać o pomoc orężną i pieniężną, lecz co dnia bardziej przekonywał się, iż może liczyć tylko na samego siebie i — na łaskę króla polskiego.

Odwracali się wszyscy coraz bardziej od Albrechta, a z Prus szły skargi w świat daleki i dobiegały aż do Rzymu.

Papież, który dotąd zawsze bronił Zakonu, surowiej zaczął patrzeć na jego postęпки i karcieć Wielkiego Mistrza, jako głównego winowajcę.

Zakon i Prusy zakonne rozprzęgły się moralnie.

Jakby ludziom niedość jeszcze było nędzy, którą sprowadziła wojna, zapomnieli o dawnej enocie, o religji, o Bogu nawet. Nieuczciwość, zdzierstwo, rabunki, mordy, fałsz, kłamstwo i wszelka niegodziwość zajęły miejsce bogobożności, uczciwości, pracowitości.

Wielki Mistrz uciskał naród — naród buntował się, odmawiał posłuchu, a na silną rękę Zakonu zaczął podnosić grubą pięść.

Złe ziarno zasiewało się łatwo na zniszczonej wojną glebie, ale najgorsze nie było własne, lecz nalitywało z sąsiedztwa, z Niemiec.

Tam wówczas upadek moralności coraz stawał się większy, a ci, którzy niby to naprawiać chcieli obyczaje, bodaj czy nie najwięcej je psuli, bo oto zbłąkanemu narodowi odbierali jedyną jeszcze podporę — kościół.

Luter i inni księża powstali ostro przeciwko złemu, które zagaściło się pomiędzy ludem, a mo-

że więcej jeszcze pomiędzy szlachtą i mieszczanami. Może znalazł się tu i ówdzie i kapłan jaki niegodny. Ale Luter, zamiast nawoływać do poprawy zbłąkanych, zamiast ukazać drogę zbawienną, drogę cnoty, opartej na świętej wierze Chrystusowej—uderzył wprost na cały kościół. Poszli za nim inni i walili to, co wieki długie zbudowały: złe i dobre, nikczemne i zacne, szkodliwe i pożyteczne, wszystko padało pod ich razami.

Ludzie niespokojni, albo tacy, którzy rzetelnej wiary w sercu nie mieli, poszli na wędkę Lutra i odszczepili się od Kościoła katolickiego, tworząc nowy, bezładny, w którym więcej zrazu sporu panowało, niż nauki dobrej, bo w ślad Lutra poszli inni i po swojemu zaczęli tłumaczyć rzeczy święte—i znowu im się wydało, że Luter nie pojmuje wiary świętej i oni musieli go poprawiać.

Zamęt powstał wielki, ale że ludzie lubią nowinki, więc wielu poszło za Lutrem i rozslawiali jego naukę.

Było niemało Krzyżaków, którym ten bunt przeciwko kościołowi katolickiemu podobał się, bo uwalniał od posłuszeństwa i dawał dużo swobody. Znaleźli się mnisi, którzy, jak Luter, zrzucili szaty zakonne i poženili się, nie przestając żyć z Zakonem!

Wiedzieli o tem biskupi pruscy, ale większa ich część milczała, ba nawet niejeden sprzyjał wyraźnie tym nowinkom. Większa część starszych Zakonu lgnęła już do nauki Lutra.

Widział to Albrecht, będąc jeszcze w Królewcu; dochodziły go słuchy w czasie podróży po Niemczech, ale głuchy był na wszystko. Wiedział, iż nikt pomocy mu nie da, a bez wojska i pieniędzy wojować nie podobna. Należało więc poddać się królowi.

W takiej to chwili wystąpił papież Adrian VI bardzo surowo przeciwko Zakonowi i żądał od Albrechta, aby jako Wielki Mistrz usunął złe, które coraz bardziej się zakorzeniało. Nie tajno było papieżowi, iż Krzyżacy skłaniają się ku naukom Lutra, i srodze za to karmił Mistrza, grożąc, iż go usunie nazawsze z urzędu, bo Zakon ślubów nie dotrzymuje, i zamiast być chlubą świata chrześcijańskiego, zakałą jego się staje.

Opuszczony przez książąt świeckich, gromiony przez papieża, Albrecht, zamiast skruszyć się w pokorze i zabrać do poprawy obyczajów Zakonu, szukał drogi, którą mógłby się wyśliznąć z trudnego położenia. Przez zaufanych zapytywał o radę Lutra, a narreszcie—sam do niego pojechał do Wittenbergi.

Opowiedział Lutrowi wszystkie kłopoty swoje, żalił się, iż Niemcy go opuściły, że papież nie chce swą powagą zasłaniać, a król polski od żądania hołdu nie odstąpi i ostatecznie zgniecie Zakon.

Śluchał z uwagą Luter, który sam jeszcze nie dawno był zakonnikiem i zakon porzucił, aż wreszcie rzekł:

— Zakon krzyżacki! Cóż to jest zakon? Głupi, przewrotny wymysł ludzki! Odrzuć, książę, regułę Zakonu, niech mnisi staną się wolnymi rycerzami, szlachtą pruską, ziemie zakonne księstwem pruskim, a ty księciem będziesz! Ożeń się, jak ja, będziesz panował, chociażby, jako lennik Polski. Czyż to nie lepiej, niżli żebrać pomocy u całego świata i wkońcu zostać wypędzonym!!

Nieszczęsna rada Lutra głęboko utkwiała w głowie Albrechta. Dobre popędy, które niekiedy miewał, zupełnie ustąpiły. Już coraz mniej myślał o ukorzeniu się przed papieżem, o poprawie Zakonu.

Jeszcze kolatał do cesarza i książąt niemieckich o poparcie i pomoc, ale myślą coraz częściej zwracał się do Lutra.

A jednak i teraz jeszcze nie mógł Albrecht ostatecznie wybrać drogi, którą miał pójść. Chociaż całemu światu było wiadomem, w jakim upadku znajduje się Zakon, Wielki Mistrz pisał list do Rzymu pełen kłamstw i zapewniał o swej wierności dla Kościoła i jego świątobliwego zwierzchnika.

Tymczasem Luter nie krył się z tem, jaką radę dał Albrechtowi. W liście do Jana Brisemana otwarcie o tem pisał, namawiając, by lud do odszczepieństwa od kościoła katolickiego nakłaniał i podburzał tak, iżby lud sam zażądał od Albrechta zniesienia Zakonu i utworzenia świeckiego państwa, w którymby wolno było swobodnie wyznawać naukę Lutra.

Lud, który tyle doznał ucisku od mnichów krzyżackich, nie pojmował dobrze różnicy nauki, bo ciemny był—spodziewał się tylko, że nowa nauka da mu swobodę, uwolni go od łupieztwa Krzyżaków i niepłatnych żołdaków. Więc garnęli się ludzie do tej nowej nauki, nie dlatego, iżby lepszą była od dawnej, lecz by zrzucić jarzmo, którego dłużej już wytrzymać nie podobna było.

XI.

Nacieszył się Jaśko dowoli swym domem i ziemią; przeżył długie dni szczęśliwie przy ojcu i w pobliżu starych przyjaciół, aż zapomniał, że czas płynie szybko i bezpowrotnie.

Ale nareszcie upomniał się król o jego powrót.

Zdał więc gospodarstwo na ojca, a sam do Krakowa ruszył.

Gwarno było na dworze królewskim. Panów zjechało się więcej, niżli kiedyindziej, bo ważne toczyły się sprawy.

Rozejm miał się ku końcowi, a wiadomo było, iż król, chociaż unikał krwi rozlewu, gotów był, gdyby Mistrz się nie upokorzył, nową począć wojnę. Najbliżsi doradcy królewscy tej samej byli myśli, czując, iż długa zwłoka tylko nową, większą biedę może spowodzić na kraj.

Przychodziły pisma od zaufanych królewskich, donoszące o krokach Wielkiego Mistrza i jego zamiarach. Przyjeżdżali posłowie Albrechta, aby wyrozumieć zamiary króla.

Coś się gotowało ważnego.

Jaśko wszystkiemu uważnie się przypatrywał i przysłuchiwał—a wciąż czekał, czy się nie dowie o gotującej się wojnie. Ale jakoś o niej nie mówiono.

Prawda, że Polacy postanowili nie ustąpić ani na krok od swych żądań, ale coś posłowie Krzyżaccy bardzo zamilkli i nie pobrzękiwali szablami,—przeciwnie, grzecznie nadszkakiwali panom polskim, a nawet dla Jaśka, którego nie lubili, stali się uprzejmiejsi.

Nieraz rozmawiał Jaśko ze Stefanem Juńczykiem, dworzaninem królewskim, pamiętnym mu jeszcze z czasów pierwszej bytności na zamku krakowskim.

— Ach—mówił Jaśko—żeby tō rychlej wyciągnąć w pole, pobić Krzyżaków, dobyć zamku królewieckiego i raz na zawsze łeb urwać tej hydrze, która nas tyle lat gnębi!

— Nie widzi mi się coś, aby to rychło nastąpiło— rzekł Juńczyk—bo Krzyżacy bardzo spokornieli. Widocznie koło nich krucho. Ni wojska, ni pieniędzy nie mają, a Wielki Mistrz już trzy lata nie był w Królewcu. Wciąż szuka pomocy i zdaje się to pewna, że mu jej nikt dać nie chce. Nasz zaś pan zbyt zacny, aby dobijał słabego.

— A jak ten słaby z czasem wzrośnie w siły i znowu zacznie kasać?—zapytał Jaśko.

— To mu się odgryziemy!

— Ba, ale czy to pomoże? Toż tyle czasu odgryzamy się, a Zakon żyw i wciąż nam dokucza. Lękam się ja nietyle siły krzyżackiej, ile ich chytrości.

— Czy sądzisz, że nasi rozumu nie mają?

— Rozum to mają, lecz brak im chytrości, a w tej Krzyżacy mistrze!

— Ech, nie damy się im!

— Daj Boże, daj Boże—mówił zamyślony Jaśko—ale jabym wolał od razu otwartą wojnę.

Tymczasem narady toczyły się dalej, posłowie krzyżaccy siedzieli w Krakowie, a Albrecht, aby mieć częste od nich wiadomości, przyjechał do Bytomia, o dziesięć mil od stolicy królewskiej.

Nareszcie już głośno zaczęto mówić, iż Wielki Mistrz zgadza się na warunki i hołd publicznie w Krakowie złoży.

Nie było wątpliwości, iż będzie pokój.

Jaśko osowiał, tak mu żal było rozstawać się z nadzieją wojny. Pogodził się wkońcu, tłumacząc sobie, iż kiedy król tak postanowił, to widocznie dobrem to być musi.

Wtedy przyszło mu na myśl zaprosić ojca i Sołuchów do Krakowa, aby własnymi oczyma spojrzeli

na pokorę Krzyżaków, na hołd tego hardego Mistrza, który niedawno jeszcze zaglądał nam groził.

W początkach marca 1525 roku przybyli Sołuchowie wszyscy, nie wyłączając małego Zygmunta, i stary Bitny, oraz panowie Kuniglis i Łopot do Krakowa.

Ledwo udało się tych ostatnich wyciągnąć z Wiśniowian, tak się przywiązali do tej placówki, której strzegli lat tyle przed Krzyżakami. Wreszcie zgodzili się jechać.

— Może—mówili— i prawdę pisze Jaśko, że już wojny nie będzie. Warto popatrzeć na Wielkiego Mistrza, zginającego kolano przed naszym królem. Taki wielki, hardy, mocny, będzie musiał ukorzyć się przed naszym łagodnym panem!

Witał Jaśko swoich blizkich z radością. Cieszył się, że ich znowu widzi; rad był, że zobaczyć mogli Kraków i dwór pański. Zdawało mu się, jakby część tej sławy, która otaczała siedzibę królewską, na niego spadała, jakby to on pod swoim dachem przyjmował drogie gości. Pokazywał im wszystko, co godnem było widzenia, oprowadzał, zająmiał z dworzanami i rycerstwem, a ugasał z wielką szczodrością.

Wszyscy się ożywili, podziwiali wspaniałość zamku, bogactwo dworu, tylko stary Sołucha markotny był i często wśród wesołych rozmów i opowiadań Jaśka, przerywał:

— A powiedz no, co tam z Krzyżakami?

— Korzą się, schylają przed nami czoła, godzą się na wszystko!

— Trudno uwierzyć — szeptał pan Witold.

Tymczasem na dworze coraz większa była pewność, iż Albrecht hołd rychło złoży.

Książęta Fryderyk Lignicki i brat Wielkiego Mistrza Jerzy margrabia Brandeburski ożywione toczyli układy w imieniu Albrechta: często naradzali się z panami polskimi i miewali posłuchania u króla.

Nieraz po ich odejściu król zwoływał do siebie swych najbliższych doradców, biskupów i wojowników dzielnych, a krajowi zdawna zasłużonych, i długo trwały narady, o których jednak dwór dalszy niczego dowiedzieć się nie mógł. Szeptano różne domysły, ale prawdy nikt nie znał.

Aż oto w połowie marca znowu byli pośrednicy na posłuchaniu u króla i powiadano, że król nagle zachorował i nikogo nie przyjmował.

Nareszcie, 18-go marca odbyła się u króla wielka narada, na którą wezwano znaczną liczbę panów. Potem przywołano książąt Fryderyka i Jerzego.

Król był poważniejszy jeszcze, niż zwykle, blady, jakby po chorobie.

Gdy weszli książęta, rzekł Zygmunt:

— Znacie moje warunki, donieście je Wielkiemu Mistrzowi. Ma do wyboru albo pokój, albo wojnę. Wolałbym pokój! Nie, iżbym się lękał. Siłę mam dostateczną, by nie tylko Mistrza upokorzyć, lecz starczyłoby jej do zupełnej zagłady Zakonu. Ale żal mi krwi ludzkiej! Takbym pragnął nie dopuścić do jej rozlewu, iż nawet na zamiary Wielkiego Mistrza się zgadzam. Niech go Bóg sędzi—ja nie chcę. Dla oszczędzenia Polsce i wam srogich klęsk wojny, zgadzam się przyjąć hołd... księcia pruskiego...

Po tych słowach opuścił król głowę na piersi i widać było ile, kosztowało go ich wypowiedzenie.

Ogromna powaga zapanowała w sali. Nikt nie śmiał się odezwać.

Długo trwało milczenie — wreszcie król znowu przemówił:

— Idźcie z Bogiem.... niech On będzie sędzią.... Ja wszystko uczyniłem, byle krew chrześcijańska nie płynęła więcej i to z mojej może przyczyny. Ci, którzy w Chrystusa Pana wierzą, powinni dziś skupić się, bo grozi nam Turek niewierny. Wszyscy powinniśmy Krzyża bronić, bez różnicy naszych poglądów na naukę kościoła, dziś tak srodze ze wszech stron uciśnionego. Niech ustaną waśnie pomiędzy nami i pamiętajmy, że dziś dwa tylko wielkie obozy są—chrześcijański i mahometański! Czy jest ofiara, której nie wartoby ponieść tam, gdzie idzie o obronę chrześcijańskiej Europy przed nawałą mahometańskiego Wschodu?

Wszyscy w milczeniu schylili głowy.

— Idźcie z Bogiem—rzekł znowu król po długiej przerwie i dał znak, iż posłuchanie skończone.

Wieczorem późno, gdy u Jaśka goście jeszcze siedzieli, wpadł Juńczyk.

— A więc pokój już zapewniony — zawołał — bo Mistrz niezawodnie przyjmie warunki. Ma szczęście!

Wszyscy wiedzieli już szczegóły posłuchania, chociaż nie wszystko rozumieli.

— Opowiadaj, co wiesz, bo my się ani połowy domyślić nie możemy. Czemu to król przez tyle dni nie ukazywał się, a dziś bardzo był smutny?

— Alboż to dziwota, że smutnym był i jest, chociaż już wszystko postanowił? Oto i teraz, gdy panowie się bawią i wielu może cieszy na rychłe uro-

czystości, król nasz samotny klęczy w swej komnacie, modli się i płacze.

— Co płacze?—zapytano chórem?

— Sam widziałem—odparł Juńczyk.

— Ależ mówcie, o co idzie, boć przecie poddanie się Wielkiego Mistrza nie powinno króla smucić.

— Tak, poddanie się; ale warunki!

— Alboż niekorzystne dla nas? Alboż oddajemy odebrane ziemie?

— To nie, lecz Albrecht, jak pewno słyszeliście, niszczy Zakon, zrzuca z siebie godność Wielkiego Mistrza, staje się świeckim księciem pruskim i przyjmuje wiarę Lutra....

— Co?! — krzyknął pan Witold, wyskakując na środek pokoju.

— Ależ to pewne—odparł Juńczyk.

Sołucha zatoczył się, jak pijany, cofnął powoli pod ścianę i ciężko padł na ławę. Twarz zakrył rękoma i zdawało się wszystkim, iż płacze.

XII.

Dnia 2 kwietnia 1525-go roku tłumy ludzi zalegały ulice Krakowa. Wszędzie było gwarno, wszyscy rozmawiali głośno. Niektórzy wesoło — inni poważnie, a niemało było i takich, którzy smutku nie ukrywali.

Nagle ruch zrobił się około bramy Florjańskiej i udzielił się tłumom dalszym i dalszym, na rynku i aż pod zamkiem królewskim..

Straż robiła porządek, usuwano ludzi ze środka ulic.

Nareszcie ujrzano orszak wspaniale strojnych Krzyżaków, a pośród nich Wielkiego Mistrza Albrechta...

Tłumy patrzyły, gwarząc. Gdzieniegdzie szmer głuchy się podnosił, ktoś nawet wyraźnie zawołał: zdrajca!..

Pociągnął Albrecht ze swym orszakiem ku zamkowi, gdzie go król uroczyście przyjął.

Ostatni raz widziano w Krakowie krzyż Zakonu i tak, niestety, dobrze znany płaszcz krzyżacki.

Po przyjęciu u króla, Albrecht przeodział się w strój świecki.

W sześć dni później podpisał warunki pokoju z Polską.

Dnia 10 kwietnia 1525-go roku już od samego świtu cały Kraków był na nogach. Kto żył spieszył w stronę rynku, aby zbliska zobaczyć świetne widowisko złożenia hołdu, który tyle krwi ludzkiej kosztował.

Obok ratusza zbudowano wzniesienie, okryto kościami i drogiemi makatami; dokoła pilnowała straż w bogatych strojach.

Jaśko Bitny, który miał się znajdować wśród rycerstwa otaczającego króla, zawczasu postarał się, by jego ojciec i przyjaciele znaleźli dobre miejsce, tuż obok wzniesienia.

W orszaku dziewięciu biskupów, wojewodów, kasztelanów, sekretarzy swych i doradców, z czterolet-

nim synem Zygmuntem Augustem, w otoczeniu dwóch tysięcy świetnego rycerstwa w błyszczących pancerzach, przybył król do ratusza. Tu włożył na siebie szaty królewskie i koronę i ruszył ku wzniesieniu.

Dostojnicy państwa nieśli przed królem oznaki jego godności: berło, jabłko i miecz.

Zasiadł Zygmunt na tronie, a na ogromnym rynku zrobiła się taka cisza, jakby tam żywej duszy nie było. A jednak rynek był ludźmi nabity. Ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, stały liczne tysiące. A wszyscy wpatrzeni w króla, w tego dobrego pana, który zniewolił nareszcie hardego Krzyżaka do ukorzenia się.

Zbliżyli się posłowie krzyżaccy, a na ich czele biskup pomorski Erhard, i padli przed królem na kolana.

— W pokorze błagamy cię, najjaśniejszy Panie, przebacź przewinienia i przyjmij do łaski twej napowrót siostrzeńca twego, a pana naszego, księcia Albrechta, który przez nas ślubuje być odtąd wiernym lennikiem korony Polskiej. Oddaj mu najmiłościwszy królu tę ziemię, która dotąd należała do Zakonu krzyżackiego, jako lenne księstwo Pruskie, i pozwól, by stanął przed majestatem twoim i osobiście śluby powtórzył i hold złożył.

Król dał znak ręką, a w jego imieniu odpowiedział podkanclerzy państwa, biskup krakowski Tomicki.

— Przyzwalamy, niech przybędzie!

Wnet stanął przed królem Albrecht we wspaniałym stroju świeckim, a obok niego książęta Jerzy i Fryderyk, którzy do tej zgody najwięcej dopomogli.

— Dzięki ci najmiłościwszy królu — rzekł drżącym nieco głosem Albrecht — za łaskę twą i względy. Przysięgam święcie tobie i koronie Polskiej mocną i nienaruszoną wiarę...

I znowu na znak królewski biskup Tomicki odpowiedział:

— Przebaczymy ci i wierzymy, iż wierności dochowasz wspólnej naszej ojczyźnie i nam, iż wspierać nas będziesz w każdej doli, a my ci nigdy nie odmówimy pomocy i opieki. Bądź wiernym, jako na chrześcijańskiego księcia przystało, bo tylko wtedy Bóg pobłogosławi twę pracę.

Postąpił Albrecht z towarzyszami naprzód i uklękli wszyscy przed królem.

Chorąży koronny podał Albrechtowi proporzec z białego adamaszku, z wyszytym na nim czarnym orłem ze złotymi szponami, z koroną złotą na szyi i srebrną literą S na piersi, na pamiątkę imienia tego króla (Sigismundus), któremu nowoutworzone Prusy przez swego pierwszego księcia hołd oddały.

Biskupi gnieźnieński i krakowski oparli na kolanach królewskich Ewangelję.

W lewej ręce trzymając drzewce proporca, prawą dotykając Ewangelji, złożył Albrecht donośnym głosem przysięgę:

— Ja, Albrecht, książę Pruski i senator Królestwa Polskiego, przysięgam w mojem i moich następców imieniu, że nazawsze wiernym będę królowi i panu mojemu oraz następcom jego, że o dobro ich wiernie starać się będę, a pokój stateczny pomiędzy mną a Królestwem Polskiem, wiecznie trwały we wszystkich jego warunkach zachowam!

Wziął Zygmunt miecz królewski i trzykrotnem uderzeniem po ramieniu pasował Albrechta na rycerza. Na znak łaski i przywiązania obdarzył go też ciężkim złotym łańcuchem.

Potem nastąpiło jeszcze pasowanie wielu innych rycerzy, a wreszcie orszak ruszył ku zamkowi — najpierw do katedry na uroczyste nabożeństwo, potem do wspaniale przystrojonych komnat królewskich na ucztę.



Sołuchowie, stary Bitny, Kuniglis i Łopot stali blisko wzniesienia, na którem odbywała się uroczystość. Wszyscy przypatrywali się uważnie, to ludziom, to strojom bogatym. Nikt z nich podobnych wspaniałości nie śnił nawet, więc niedziw, że cała ich uwaga była skupiona na tem wzniesieniu, błyszczącym od barw bogatych, drogich kamieni i zbroi.

Nawet Jurko nie zważał wiele na dziadka, który na rękę trzymał małego Zygmunusia. Chłopczyna rączki wyciągnął i klaskał niemi i śmiał się wesoło. Pan Witold stał wyprostowany, z oczyma wlepionemi w tron królewski.

Gdy na wzniesienie wszedł Albrecht w stroju świeckim, pan Witold pobladł, ustami poruszał, jakby chciał coś powiedzieć, a głosu mu brakło.

A kiedy Albrecht ukląkł i przysięgę złożył, stary Sołucha wstrząsnął się nagle, podniósł prawnuka jeszcze wyżej i głośno zawołał:

— Patrz, patrz na zaprzańca, co złamał wiarę poprzysiężoną Kościołowi świętemu! Przekleństwo jemu i jego następcom!

Ruch się zrobił dokoła, bo słowa starca słyhać było daleko. Mówiąc, stał wypreżony, olbrzymi; ręce, które trzymały Zygmunta, drżały, ścisnęły się, aż chłopczyzna się skrzywił.

Jaśko, stojący opodal wśród straży królewskiej, spostrzegłszy, że się coś nadzwyczajnego dzieje, rzucił się ku panu Witoldowi, ale nim dobiegł, już starzec leżał martwy na ziemi, a przy nim klęczeli wnuk i przyjaciele...

W orszaku królewskim nie nie spostrzeżono i uroczysty pochód popłynął wspaniale dalej.

* * *

Na drugi dzień udało się Jaśkowi dobić do króla. Prosił, by go Zygmunt puścił na Żmudź. Gdy król nastawał, by wyjawiał powód tego nagłego żądania, wyznał, iż chce odprowadzić zwłoki starego Soluchy i pochować je w Wiknianach,—tam nad samą Szeszuwą, na granicy, której tyle lat wiernie bronił, aż skonał w chwili, w której zdawało się, że obrony już nie będzie potrzeba...

— Długo zabawisz?—zapytał król.

— Nie chciałbym zaraz opuszczać przyjaciela, którego taki cios dotknął, ale gdy trzeba będzie na koń przeciwko wrogom, przypędzę wlot.

Król zadumał się głęboko.

— Nie powiedziałeś mi wszystkiego, lecz domyślałem się.... Solucha nie wierzył w wierność Krzyżaków... A ty, coś uczniem jego był, coś lata długie cierpiał niewolę, ty, któryś pierwszy nas uprzedził o grożącym niebezpieczeństwie, wierzysz-li?

Spoważniał Jaśko i po chwili odparł:

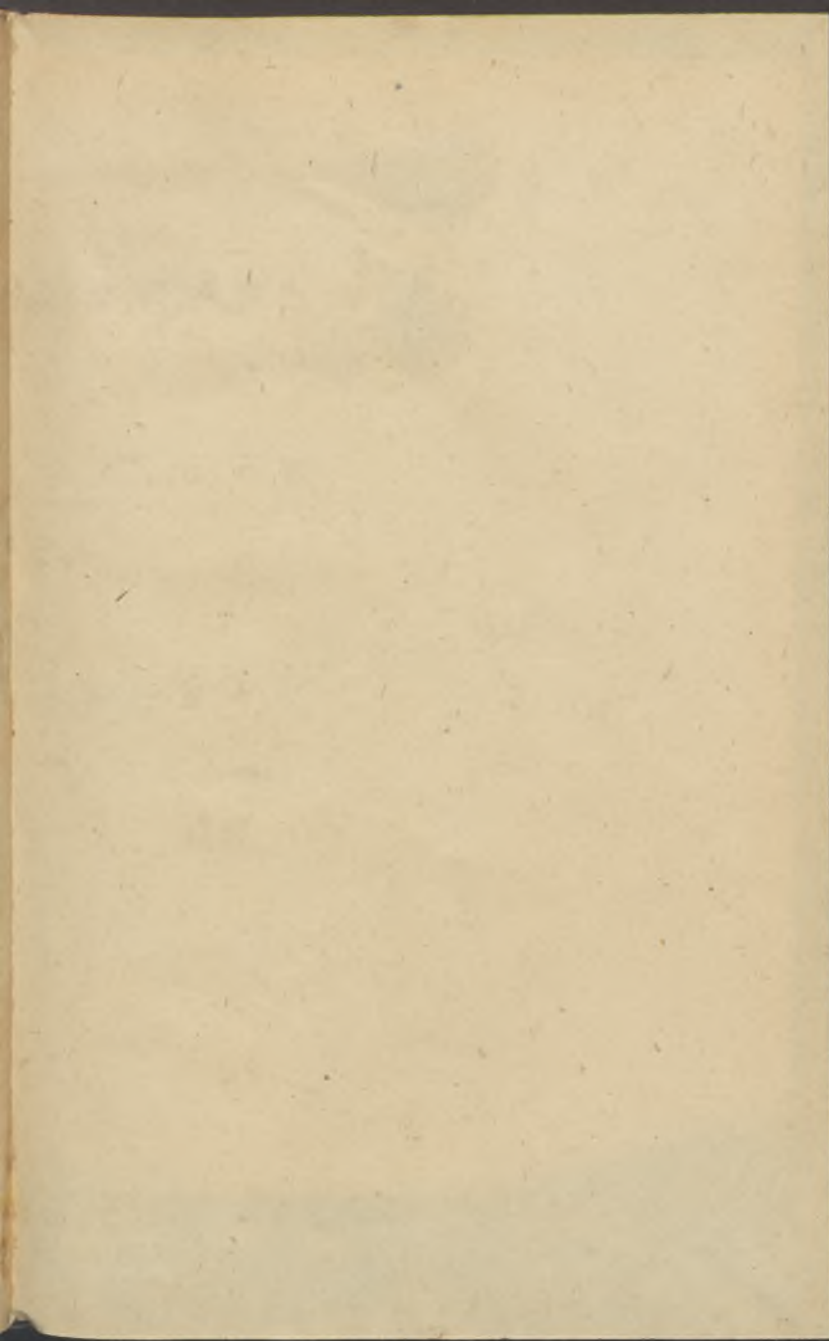
— Wierzę, iż nic bez woli Boskiej stać się nie może...

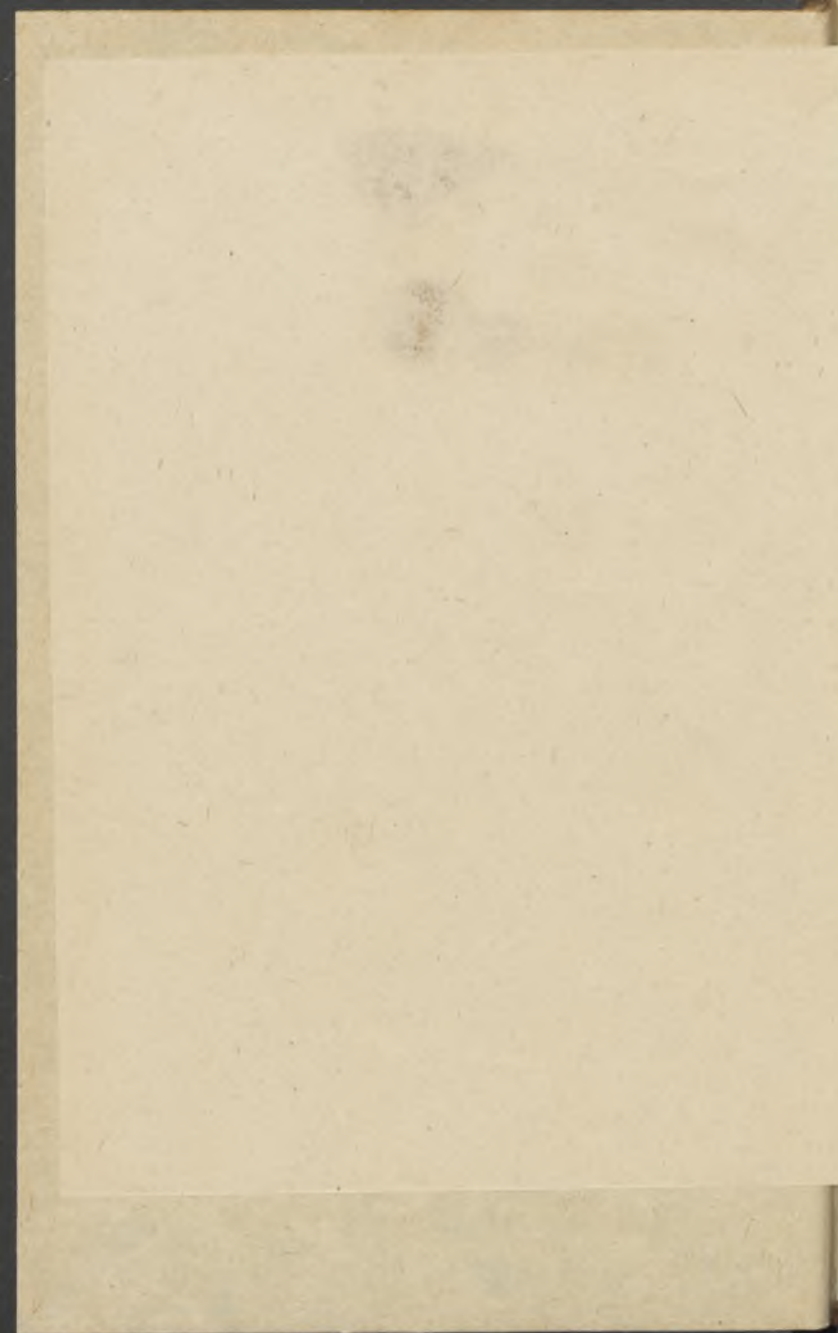
Król pochylił głowę i długo siedział pogrążony w zadumie. Potem wstał, położył Jaśkowi rękę na ramieniu i rzekł:

— Idź z Bogiem i niech cię ta wiara nigdy nie opuszcza.

K O N I E C.

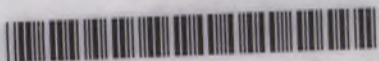






35,00

*Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie*



010-062644